

ROK II. NR. 4
WARSZAWA
SOBOTA
27 - I - 1934 R.
CENA 50 GR.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

OLGIERD GÓRKA

PIERWSZE POKŁOSIE DYSKUSJI O HISTORYCZNOŚCI „OGNIEM I MIECZEM”

Rozstając się z kwestją historyczności „Ogniem i Mieczem”, oraz ze związanymi z tem uwagami, czy próbą genetycznego podejścia do twórczości Sienkiewicza, siłą rzeczy poczuwam się do obowiązku odpowiedzi na niektóre z zagadnień, czy zarzutów, jakie padły w czasie ukazywania się mych artykułów w „Pionie”.

Ogólne przesunięcie się dyskusji z poziomu pierwszych ataków na wysokość debaty, uwalnia mnie od zajmowania się początkowymi przejawami w prasie, oraz szczegółami pewnych sprawozdań. Nie mogę jednak odmówić sobie przyjemności zaznaczenia tego, jak serdecznie ubawilem się, gdym się dowiedział, że zdobycie wszystkich stopni uniwersyteckich, członkostwo akademii zagranicznej, studia słynnej Ecole de Chartes, ba — nawet uniwersytet jezuicki St. Joseph, obok dyplomu wyższej szkoły wojennej, nie uwalniają w Polsce od wydrukowania mi zarzutu „przygodnego historyka o domowym wykształceniu”. Cieszyłem się również, gdy z widoczną życzliwością nazywano mnie młodą, gorzej — gdy ci, którzy nigdy nie zaczęli i niczego nie zaczęli, traktowali mnie per „początkujący”, chociaż me pierwsze obserwacje o polityce polskiej wieku XVII, przed przejściem do średniowiecza, drukowałem niestety już lat równo 25 temu, a przeszło lat dwadzieścia poważne wydawnictwo niemieckie wydało tłumaczenie mojej rozprawy (Quell u. Darst XVIII — 1913). Co więcej — już dawno temu w słowach bułgarskiego profesora Deczewa, publikującego wyciągi z mej pracy łacińskiej z r. 1916, wyczyłem, jak gdyby uważał mnie raczej już za nieboszczyka.

Przy tej okazji i z tych tytułów chciałbym poprosić oponentów mych poglądów historycznych, z których niektórzy również w prasie codziennej poważnie do zagadnień podchodzili, by w polemicznym przeciwstawianiu się, nie opierali się wogóle na opracowaniach tych spraw, ale wyłącznie na cytatach z oryginalnych wydawnictw źródłowych. Bowiem np. ustępu w liście Wiśniowieckiego z 20. V. 1648 o oczekiwaniu rozkazów hetmańskich z niecierpliwością, który mógłby w pewnej mierze podważać moją koncepcję klęski korsuńskiej, w tekście — niema! Podobnie np. Maszkiewicz: djarjusze zbarskie zawierają szereg niemożliwości, kłamstw i nonsensów, dopiero więc po krytyce szczegółowej mogą być używane, jako źródła wiadomości.

Wreszcie mniej poważnie do zagadnień podchodzących oponentów proszę uprzejmie, żeby — jeśli czegoś na problemach,

lub wyrażeniach nie rozumieją, — chcieli laskawie ten brak zrozumienia stwierdzać wyłącznie w własnym imieniu, a nie również w moim.

Po tym małym wysoku złośliwej satysfakcji muszę przejść do poważnego zarzutu, którego pewną dozę słuszności uprzedzałem w pierwszych słowach moich artykułów, a który nawet ostatnio został podniesiony w prasie (m. in. prof. Wł. Konopczyński. „ABC” 1934 — Nr. 1), a mianowicie dlaczego nie czekałem z memi wnioskami na napisanie sporej i dokładnie udokumentowanej rozprawy, czy pracy na ten temat. Jest to bowiem zarzut, który może być poważnym w odniesieniu do zawodowego historyka.

Przedewszystkiem chodziło mi o problem literackiej twórczości Sienkiewicza, przy czem zdawałem sobie sprawę, że najważniejszym wogóle zagadnieniem jest kwestja wychowania obecnego pokolenia, którego sprawy nie mogą, czy raczej nie powinny czekać nie tylko latami, ale nawet miesiącami. Rola zaś wszystkiego, co jest związane z Sienkiewiczem, była i jest jeszcze może ciągle w tem tworzeniu duszy polskiej tak olbrzymia, że każdy szczegół nabiera wagi. Jest w mem najszczerzem przekonaniu o wiele ważniejszym, co będą wiedzieć i co przemyślą na te tematy w najbliższych miesiącach i latach setki nauczycieli literatury i historii, nawet po zapadłych kątach Polski, niż co przyjmie, lub nie przyjmie, zamknięte koło profesorów, docentów i asystentów, zajmujących się daną epoką.

Obok tego równie decydującym momentem jest fakt, że każde literackie podejście do zagadnienia jest jeszcze z innego powodu ważniejsze, aniżeli naukowe. Odczuwaniem przez naród swej przeszłości nie rządzi historjografja sensu stricto, ale jej przejawy literackie. Obowiązuje ten fakt równie dobrze u nas, jak w całym świecie. Podejście historycznej szkoły Aularda do psychiki terroru rewolucji francuskiej stalo się własnością całego świata myślącego dopiero wtedy, gdy A. France napisał „Bogowie łakną krwi”. Mam głębokie przekonanie, że gdyby tak Sienkiewicz swoim lwim pazurem, bez pokostu optymistycznego lub też z tym pokostem, opisał choć jeden sejm, lub jeden dzień sejmu polskiego byleż Rzeczypospolitej, wiedziałby cały naród polski o tej sprawie więcej, niż z wszystkich potępień szkoły krakowskiej. Staje mi prosto przed oczyma w ujęciu pióra Sienkiewicza np. taki dzień 27. V. 1647, z czasów, tuż przed „Ogniem i Mieczem”,

gdym niejaki poseł Kiersznowski rznie Władysławowi IV i Ossolińskiemu reprimende, z gębą pełną prawa i wolności, a równocześnie szepcze do kolegów-posłów szyderczo i cynicznie: „otóż masz, królu, piarsarstwo nowogrodzkie”, przy którego wankansie właśnie go pominięto. Byłoby zaś na tem polu również odpowiednie miejsce dla postaci dodatnich, gdyż równocześnie w tym czasie zmarł na apopleksję, czyli jak się mówiło, z „aprehenzji”, miecznik Stanisław Jabłonowski, ponieważ do tego stopnia przejął się kalumnjami, jakimi obrzucano go na tym sejmie za to, że występował o potrzeby wojskowe Polski i przeciwstawiał się przy tem zasadzie jednomyślności.

Gdyby takie momenty zechciały opisywać pióra o wrodzonym lwim pazurze! Warunkiem bowiem wszystkiego jest, by ten nieobliczalny talent w myśl „spiritus flat ubi vult”, zabłysnął tak jak ongiś 2 maja 1883 r. W tem bowiem leży całe zagadnienie, a znajomość epoki jest momentem koniecznym i warunkującym dodatni skutek, ale dopiero wtórnym. Niewątpliwie bowiem, by przytoczyć dla ilustracji wypadek współczesny z tego zakresu, znajomość epoki p. Kossak-Szczuckiej w powieści „Złota wolność” jest nieporównanie większa, niż Sienkiewicza, gdy zaczynał „Ogniem i Mieczem”, ale lwie pazur niewątpliwie mniejszy. Niemniej jednak ta treść naszych dziejów, czy raczej ta znajomość przeszłości Polski, może być dla każdego polskiego twórcy, o wyżej zakreślonych ambicjach, dźwignią niesłychanej wagi, elementem, czy inspiratorem najczystszej wody.

Nie przeczę, że do wypowiedzenia tych ostatnich uwag skłoniło mnie również podejście A. Skwarczyńskiego w artykule „Odbudowanie państwa a literatura” („Pion” Nr. 1), który w najistotniejszej części zrozumiałem — dawnym, przedwojennym językiem, — jako stwierdzenie, że literatura — „to wielka rzecz”. Niewątpliwie też, jak ongiś, w kilkanaście lat po powstaniu styczniowym, tak podobnie dziś, w kilkanaście lat po tak wielkich wypadkach, poważniejsze myślenie polskie domaga się już ponownie od tej literatury nie inteligentnych i zgrabnych łamańców artystycznych i psychologicznych, ale rzeczy prostych i wielkich, czyli właśnie najtrudniejszych. W poszukiwaniu tej treści pochłaniani są dzisiaj już nie Wallace'y, Leroux i t. d., ale masami Ludwigi, Zweigi, czy Feuchtwangery — rzeczy, które oczywiście są tylko surogatem tego poważnego, polskiego, artystycznego karmu

T R E Ś Ć:

OLGIERD GÓRKA
POKŁOSIE
DYSKUSJI O
HISTORYCZNOŚCI
„OGNIEM
I MIECZEM”
WŁ. TOMKIEWICZ
„RZECZYWISTOŚĆ
HISTORYCZNA”
W KRZYWEM
ZWIERCIADLE
J. E. SKIWSKI
KUPA FLAKÓW
W ŚRODKU
MARZENIE
JÓZEF CZECHOWICZ
PRZEKŁADY
WIERSZY
J. MAŁANIUKA
I O. OLŻYCZA
H. MORTKOWICZ
Ł A D
E. SZEMPLIŃSKA
HISTORJE
GRAFOMAŃSKIE
(ILUSTRACJE
EDW. MANTEUFFLA)
J. K A D E N-
BANDROWSKI
N A G R O D A
NA BANKIECIE
K. IRZYKOWSKI
G Ł O S N A
WIKTORA

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1243/84/13

na tem polu, poszukiwanego przez obecny intelekt Polski.

Bez chęci ugodzenia kogokolwiek, jasnym jest nie tylko dla mnie, ale już dla coraz bardziej licznych, że trudniej napisać jeden akt „Śpiewaków Norymberskich“, czy „Madame Butterfly“, niż dać najlepszą nawet przeróbkę tanga, lub fox-trota, że trudniej dobrze osadzić Batorego pod Pskowem na krześle, lub cisnąć Rejtana na ziemię, niż dać najbardziej skomplikowaną kombinację linii, czy kolorów. Oczywiście, nikt nie może przekonywać, czy doradzać, by to, co przyjąć powinno, było regeneracją manieri pisarskiej Sienkiewicza. Może to będą „Kamienie“ Berenta, czy zwłaszcza jakieś inne „Popioły“, lub „Sulkowski“? Śmieszno by wręcz było doradzać jakiejś formy literackiej (tak samo jak zniechęcać do swobodnych rozwiązań malarskich), niemniej jednak leżą przed naszą obecną twórczością, w której jest tyle piór plastycznych, tylu władców jędrnego słowa, dalej odlogiem nieprzebrane złoże skarbów powieściopisarskich i dramatycznych naszej przeszłości. Poraz trzeci stwierdzam — że, oczywiście nie sposób doradzać, czy to mają być przeżycia tych praojców, którzy od XVII wieku idą ku upadkowi, czy też tych zupełnie nowych Polaków, rodzących się z legionów Dąbrowskiego (zob. moja „Dziej. rzecz.“, str. 28), którzy idą walką i pracą najprzód ku wolności, a dziś już ku wielkości.

Brückner („Hist. Lit.“ II, 375) był zdania, że Sienkiewicz swój triumf zawdzięczał przetruceniu się na wiek XVII. Niewątpliwie jest w tem wiele racji, gdyż w tym to wieku rozegrały się zasadniczo losy Polski, dla których wiek XVIII był już tylko wykonaniem. Wiek ten ma też najwięcej uwidocznionego materiału obrazowego i batalistycznego, o ile chodzi o tematy powieściowe. Słuszność jednak tego ujęcia Brücknera nie jest bezwzględna. Mam przekonanie i odczucie, że cała przeszłość polska od podziałów do rozbiorów jest jednym olbrzymim złożem potężnych postaci, ciekawych zarówno świadectw, jak sytuacji, tragicznych, czy dramatycznych, obok sielankowych, czy wesolkowatych. Poza to każdy dzień przynosi nowe, nieznanne szerokiemu czytelnictwu ujęcia, których wyliczenie np. w przytoczonym artykule prof. Konopczyńskiego z pewnością będzie interesujące dla każdego literata.

Niezależnie jednak od rewizji i nowości, już od Łokietka począwszy widzę ogromne możliwości tych, dotychczas nietkniętych momentów historycznych, uplastyczniających się już samą swą fabułą. Można zacząć od chłopskiego uporu tego genialnego i niepospolitego piniacza politycznego — Łokietka, który np. w artystycznym wykonaniu Jaracza umiałby i dziś Polsce niemal współcześnie powiedzieć, że nie popuści, gdzie jego prawo, gdzie jego krzywda! A dla odmiany, — czyż tuż obok niema awantur królewicza Kazimierza, o scenach dramatycznych, rozgrywających się na Węgrzech, silniejszych, niż te, które przynoszą dzieje francuskie i angielskie? Czyż niema walorów artystycznych postaci delikatnej księżniczki Anjou, królowej Jadwigi, zablakanej wśród bezwzględnych wielmożów i ślączej zaufanych do Sandomierza, by sprawdzili, o ile jej narzeczony Jagiello jest niedźwiedziem, względnie człowiekiem? Albo Zawisza Czarny, ale niekoniecznie ten symboliczny Tetmajera i Wyspiańskiego, lecz ten bywalec i rycerz-światowiec, zawracający sam jeden konia przeciw nieprzyjacielowi, gdy wszyscy obcy uciekają. Czasy Jagiellońskie rozpadają się już na

setki obrazów, zyskujących na złości kolorów, dla obydwóch Zygmunatów, a Bona i Barbara — to postacie godne pióra szekspirowskiego, ale Barbara już nie ta Felińskiego, ale raczej L. Kolankowskiego. Batorego, od Słowackiego przez Szujskiego do Goetla i Brończyka, wyczer-

tach, a ostatni w odwrocie i nieszczęściu, że i teraz z miłości ku wam tylko berło składam... a, miłością na tron wyniesiony, z miłości ku Rzeczypospolitej z niego schodzę... Wybaczcie losowi lub względom państwa, jeśli w czem panowanie moje się nie podobało“. Oto słowa, które chociażby

NIEZNANY PORTRET JANA KAZIMIERZA

(ze zbiorów Antykwariatu artystycznego Fr. Studzińskiego w Warszawie)



P. Fr. Studzińskiemu, właścicielowi antykwariatu artystycznego w Warszawie udało się odkryć ostatnio kilka nieznanych portretów królów polskich, a m. in. powyższy współczesny portret Jana Kazimierza. Jest to pierwszy znany portret króla z profilu. Obraz ten, wyraźnie świetnego pędzla, malowany pod wpływem szkoły holenderskiej, cechuje jednak równocześnie lekkość szkoły francuskiej. Odkrycie tego portretu ma tem donioślejsze znaczenie, że prawdopodobnie autorem jego (jak wskazywałby stary napis na odwrocie) jest Jan Chryzostom Proszowski, nadworny malarz Jana Kazimierza, o którym król wspomina w jednym ze swoich listów: „servitor et pictor noster, incola cracoviensis“, a którego żadnej pracy własnoręcznej dotychczas nie znamy, tylko kilka sztychów Gorczyzna i Tscherninga robionych według jego rysunków.

Dzięki uprzejmości p. Fr. Studzińskiego, jesteśmy w stanie zasygnalizować o tem odkryciu i podać reprodukcję z dzieła sztuki, które — jeśli hipotezy co do autorstwa ustalą się ostatecznie, — zajmie napewno wybitną kartę w dziejach malarstwa polskiego.

paliśmy w naszej literaturze raczej za mało, chociaż nie brak w naszych dziejach wielu podobnych sytuacji, niestety nie tak dobrze rozwiązanych.

Setki tych sytuacji czasów Jagiellońskich rozbija się niemal na tysiące obrazów w czasach Wazów, by dojść do szczytu napięcia w tych latach między „Potopem“, a „Panem Wołodyjowskim“, które celowo opuścił Sienkiewicz, piszący dla „krzepienia serc“ Polski przedwojennej. Jeśli w epoce „Ogniem i Mieczem“ zatarty został dla polskiego ogółu Ossoliński, który miał program zarówno Richelieu'go, jak Mazarin'a, ale nie mógł, czy nie umiał go wykonać, to wspomniany okres 1660—1668 naładowany jest wręcz sytuacjami dramatycznymi. Weźmy chociażby rozstrzelanie hetmana Gosiewskiego przez własnych żołnierzy i karę za to nadchodzącą. Czyż nie zasługuje na ujęcie w słowa dramatu chociażby mowa abdykacyjna Jana Kazimierza o niepospolitej wręcz sile działania: „znużony wiekiem, trudami wojen, z ł a m a n y o b r a d a m i... składam to, co świat najwyżej ceni, koronę... Żem pierwszy bywał w bi-

za tekstem Szujskiego (III. 475), płyną w przestrzeń dziejową, jako właściwe zakończenie „Potopu“.

Trudniej będzie wykrzesać silniejsze, większe tony z okresu Sobieskiego, jeśli się zechce uniknąć tanich, teatralnych efektów. Nic dziwnego, że Sienkiewicz porwał się na to — bez powodzenia. Czasy saskie — to raczej pole dla popisów w charakterystykach, niż możliwość wywołania wielkich zjaw. Dla odmiany jednak, czyż nie daje już olbrzymich możliwości okres stanisławowski, jak wyczuwał to Reymont; chociażby taka postać Seweryna Rzewuskiego, który zaczął, jako jeden z pierwszych męczenników polskich, porwanych rosyjską kibitką do Kalugi, a skończył przez ciasną służbę dla frazesu tradycji, praw i cnót praojców, — obok Branickiego, jako jeden z twórców konfederacji targowickiej.

Dzieje i typ nowego Polaka, to dziedzina twórcza powieści, którą jednym wielkim tchnieniem i odczuciem zainicjował Żeromski. Ciągnie się ona przez wiek cały zgórą, lecz cały ten okres jest w swem bogactwie zbyt znany, by go trzeba dzisiaj jeszcze uprzytamniać.

Zrozumiałem jest jednak dla mnie, dlaczego, przy tych wszystkich dramatycznych możliwościach, dzisiejsi nasi literaci tylko niechętnie się zwracają ku tym złożom treści i sytuacji z dziejów byłej Rzeczypospolitej. Większość podręczników zniekształca przeszłość naszą tonami i nastrojem „Wieczorów pod lipą“, z wyjątkiem tych dziejów z wszelkich szczegółów plastycznych i charakteryzujących ludzi, oraz epokę. Na tem polu po dziś dzień jeszcze najwięcej dają zupełnie zapomniane i niewątpliwie zupełnie przestarzałe, ale ciągle jeszcze najbogatsze w treść ilustrującą przeszłość — „Dzieje Polski“ Szujskiego. Nowsze opracowania mają niestrawną dla artystów przewagę elementów ustrojowo-prawnych nad politycznymi i wojskowymi, nie pobudzają fantazji, jeśli nawet zmuszają do myślenia w tym stopniu, co „Dzieje Polski“ Bobrzyńskiego. Historia polityczna w Encyklopedji Akademji rejestruje tok spraw, ale obrazu plastycznego i żyjącego przeszłości nie daje. Najnowsze opracowania, mimo pełniejszego uwzględnienia strony kulturalnej, są zbyt szczupłe i pozbawione charakterystycznych szczegółów. Naukowego zaś, a polskiego opracowania dziejów Polski, zaopatrzonego w źródła, literaturę, charakterystyczne wyjątki i t. d., w przeciwstawieniu do tylu innych narodów — nie mamy.

Niema więc innego wyjścia dla tych, którzy zechcą zasilic swą twórczość treścią przeszłości, jak metoda, którą z czasem tak świetnie wykształcił w sobie Sienkiewicz, t. j. rozczytywanie się wszechstronne w źródłach, które same rzucą nieporównanie więcej treści i obrazów, niż wszystkie opracowania, same więcej powiedzą, niż wszystko, co z nich dotychczas wydobyliby historycy. By przytoczyć jeden celowo niewdzięczny przykład, jestem pewny, że cenionego, a nie wolnego od błędów, dzieła Prochaski (2 tomy) o „Władysławie Jagielle“, żaden, nawet najbardziej wykształcony i cierpliwy literat nie doczyta do końca, natomiast tegoż Prochaski zbiór źródeł (w Kodeksie Witolda), pozornie nudny zbiór dokumentów, listów i relacji z początku wieku XV, można czytać z przejęciem i z całym poczuciem zainteresowania dla tych wszystkich skomplikowanych i ciekawych spraw czasów nawet tak odległych. Ówczesny zaś opis pobytu w Polsce Guilberta de Lannoy czyta się prosto jednym tchem.

To był jeden z dalszych powodów, dla którego, zachęcony przez redakcję „Pionu“, zaryzykowałem obciążenie pisma literackiego sprawami niemal czysto historycznymi. Dla rządu bowiem dusz i odczuwań narodu polskiego każde słowo literatury jest niewspółmiernie ważniejsze, niż rozprawy ścisłej i „zamkniętej w sobie“ nauki.

Poruszyłem sprawę „Ogniem i Mieczem“ — poza wagą zagadnienia literackiego — również z myślą o młodzi historycznej, jeśli te moje uwagi do nich zablądzą. Pisałem bowiem dla tych formujących się, czy przyszłych „sapere auri“, dla tych, którzy będą mieli odwagę myśleć własnymi torami, aby wiedzieli, że tak, jak raz za razem zwracałem na to uwagę na odcinku średniowiecznym, tak na całej przestrzeni naszej przeszłości jest pole do nowych ujęć zagadnień i wypadków, o ile się podchodzi metodycznie i w możliwie najszerszym zakresie źródeł, oraz literatury. Wiem zbyt dobrze, jak młodzież naukowa czuje się nieraz najniesłuszniej upośledzoną, że zostały już dla niej tylko „przyczynki do przyczynków“, podczas gdy dla niej właśnie pozostało przebudowanie naszych dziejów już dla potrzeb Polski Odrodzo-

nej. Po olbrzymich bowiem pracach, dokonanych na terenie zagadnień ustrojowych, zostały rozległe pola spraw politycznych, a zwłaszcza wojskowych, na których w odniesieniu do spraw południowo-wschodnich z dawnego dorobku kamień na kamieniu nie zostanie. Pod tym względem — pomimo tych różnych protestów — wiem dobrze, że po szeregu moich uwag nigdy już nie wrócą do historjografji polskiej te rekonesanse, wysyłane pod Zbaraż w sile 30.000 jeźdźców, t. j. ca dwóch armji Budiennego (Kubala I. 77; Tomkiewicz, 316; ks. Fraś — Obr. Zb., str. 20). Nie wątpię, że po wykonaniu postawionego przeze mnie planu Monumenta Islamitica, oraz przy uwzględnianiu, obok polskich źródeł, obcych, wejdzie w to miejsce znany, a stały i wyborowy komunik tatarski, który szedł w straży przedniej zagonu hańskiego, w sile 300 do 500 jeźdźców. Ten sposób ujęcia spraw wojskowych utrzyma się napewno w 90, czy 95 procentach, jeśli nawet o pozostałe 5 będę musiał toczyć dyskusję naukową.

Nie wątpię również, że ci przyszli „sapere ausuri” przyznają sobie ponownie prawo sądenia o złem i dobrem naszej przeszłości bez tej, wchodzącej coraz bardziej w życie, zarówno na terenie ustrojowym, jak politycznym i wojskowym, zasady „tout comprendre c'est tout pardonner”, wypływającej, może nawet podświadomie, z obawy, by rzeczywista przeszłość Polski nie stała się przypadkiem frapującym uzasadnieniem tego, co się dziś dzieje. Niech rzucą ci przyszli historyczni „sapere ausuri” okiem na tak ciekawe i skądinąd pełne dowcipu i inteligencji pisma Andrzeja Maksymiljana Fredry z XVII w., a przekonają się, że według jego systemu myślenia nietylko ci „gubią Polskę”, którzy są za budowaniem twierdz (sic!) i zwalczaniem liberum veto, ale także ci, którzy Polskę i Polaków „ganią”. Słusznie bowiem łączyły się w mózgu Maksymiljana Fredry wszystkie te „grzechy” razem, a więc budowanie potęgi wojskowej Polski, zwalczanie sejmowładztwa, oraz krytyka historyczna, lub publicystyczna swego narodu, czuł bowiem trafnie — oczywiście ze swego stanowiska, — że są to wszystko razem łącznie elementy budowania silnej i zdrowej władzy w państwie. Nie rozumiał tylko, tak na swe czasy inteligentny i obrotny, Fredro, mimo tylu już wówczas poważnych oznak, oraz wygłaszanych chociażby przez Jana Kazimierza ostrzeżeń, że te, tak hańbiące jego zdaniem próby budowania władzy były automatycznym ratowaniem — bytu Polski.

Fredro jeszcze tego nie umiał zrozumieć, a wielu z dzisiejszych historyków chciałoby już o tem zapomnieć!

Liczyłem się również z tem, gdy zabierałem głos w tak interesującej młodzieży sprawie „Ogniem i Mieczem”, że moje stwierdzenie „odwrócenia obrazu” wpadnie do rąk młodzieży gimnazjalnej, nie podzielałem jednak obaw, któremi mnie straszono, że „gimnazjaliści przestaną wierzyć w historję”. Wiem bowiem bardzo dobrze, że tak jak w dawnej przeciętnej klasie gimnazjalnej, tak i w obecnym systemie nauczyciel obowiązany jest przerabiać bardzo racjonalne ustępy o metodzie historycznej, tłumaczące, skąd się bierze i jak powstaje pisana historia. Istnieje również instrukcja ministerjalna, jak też wszechstronne spisy nadobowiązkowej lektury, którą uczniowie czytać powinni. Podobnie nauczyciele historii i literatury powinni zakładać kółka

dyskusyjne, odpowiadać na wszystkie interpelacje i zainteresowania młodzieży, oraz budzić już u najmłodszych skłonność do czytania źródeł. Gdzie jest to wykonywane — stan taki jest dodatni, gdzie nie — to może właśnie spory o „Ogniem i Mieczem”, klótnie młodocianych zwolenników i przeciwników Jaremy, przyspieszą wykonywanie pracy pedagogicznej z wszechmiar

nakazanej. Na tem polu winne obecne uwagi położyć kres poleceniu dla tych spraw uczniom obok Kubali — Rawity-Gawrońskiego! (por. T. Czapczyński: Metodyczny rozbiór Ogn. i M. 1922 str. 25). Niewątpliwie zaś od pierwszych przejawów samodzielnego myślenia, aż do wysokich stadjów rozwoju, jest obowiązkiem tych, którzy myślą kierują, wytloma-

czenie i wykazanie — że hyperkrytycyzm i skrajny sceptycyzm jest tylko inną formą tej samej ignorancji, która przejawia się ślepią wiarą w każde drukowane słowo.

Mimo zarzutów tendencji politycznych, jakie już padły, nie waham się wreszcie szczerze stwierdzić, że poruszyłem te kwestje z myślą o mych kolegach bojowych, nietylko z tych czasów, gdy szli, jak ci z „Potopu”, długo „osamotnieni” wśród niechęci i rezerwy psychicznej ogółu, ale także z tego okresu, gdy kierowani genialną i twardą wolą musielei, jak ongi ci przed wiekami, podjąć walkę z temi ujemnemi, a wiecznie odradzającymi się, narowami duszy polskiej. Ukochane „Ogniem i Mieczem”, bez wglądu w proces jego powstawania, mogło teraz już niejedno przysłaniać, zwłaszcza wobec tak przepięknego wpływu Sienkiewicza na cały obóz niepodległościowy, co zresztą należy już dziś do pewników, stwierdzonych np. przez Feldmana. (VI wyd. I. 95). Wiedziałem, że na krytyce prawdy historycznej w „Ogniem i Mieczem” wielkość Sienkiewicza nietylko nie straci, ale zyska właściwą, metodyczną oprawę, która może już nigdy więcej nie pozwoli zestawiać go z rolą i twórczością Dumas'a. Równocześnie zaś właśnie dla drugiego okresu walki o Polskę, trzeba było wywołać z rzeczywistości historycznej, bądźto z poza kart Trylogji, bądźto przez uwypuklenie roli „Potopu”, te momenty, które winny im dać dla obecnych czasów to psychiczne umocnienie, które w okresie frontowym dawała cała „Trylogja”, jako taka.

Podkreśliłem to chyba dość mocno i wyraźnie, że naprawdę i skutecznie może dać te walory i tę treść myślową, tylko ta nowa literatura, o którą upomniał się już A. Skwarczyński, a w której powinno odżyć to wspomniane poczucie odpowiedzialności wobec czytelnika z przed lat niemal pięćdziesięciu.

Lecz zanim się to stać może, trzeba było, by z treści, nieujętej w karty „Trylogji”, wróciły dążenia Jana Kazimierza, odżył Ossoliński, Kisiel, oraz ten „cham” polski, którego duszę naprawdę, a artystycznie, uczcił dopiero Żeromski w rozmowach legjonistów „Sulkowskiego”. Trzeba było wywołać widmo tej strasznej bitwy pod Mątunami, oraz świadomość, że bohaterów „Potopu” będących pod słabem kierownictwem wojskowym (choć wodzami ich byli nie kto inny, jak Jan Kazimierz i Jan Sobieski), bratnie, polskie szable wycięły w pień w imię frazesu, w imię utrzymania anarchji, a na zgubę Polski. Trzeba też było, by ktoś przypomniał garstkę, odprowadzającą zwłoki Ossolińskiego, gdy kniaziewi Jaremi do grobu towarzyszyła cała pompa i morze panegiryków. By stanął przed oczyma dzisiejszych Polaków ten, którego mowę abdykacyjną przytoczyłem, a któremu to za jego słabą i względnie ręką żadnej krzywdy i nikczemności nie oszczędzono, któremu pamfleciści XVII wieku nawet najdumniejsze imię piastowsko-jagiellońskie Kazimierza skalamburowali (Kazi-mir = psuje pokój) ku radości ówczesnego tłumu szlacheckiego.

Dziś, gdy zapomniane serce Jana Kazimierza za to, że nie umiał zbawczych zamiarów połączyć z twardą i zwycięską ręką, spoczywa w dalekim, paryskim St. Germain des Prés, gdy dzieci polskich prawie nikt o Ossolińskim nie uczy, nadszedł już w pełni czas, by ci, którzy w walce z narowami duszy polskiej zwycięski udział wzięli i walkę tę dalej prowadzą, uczcili chwilą skupienia tych, którzy ongi przed wiekami walkę tę, tak tragicznie dla Polski przegrana, — prowadzili.

JEWGIEN MAŁANIUK

Przełożył JÓZEF CZECHOWICZ

PRZED PORTRETEM MAZEPY

Żeby odczuć — wczytać się trzeba,
zaprzepaścić w tym oto sensie:
Illustrissimus Dominus Mazepa,
Dux Cohortis Zaporoviensis.

Czupryna srebrna, czoło prorocze —
nie, to nie Nioby puste powieki —
teleskopowe, chłodnawe oczy
patrzą w idące burze i wieki.

W pancernej blasze piersi i ręce,
skrzydła spalone z tyłu, jak chmura.
Ciało sterane, serce młodzieńcze
okryły razem bronz i purpura.

Słyszały wieki, wieszczy Hetmanie,
Rzymu kozaków sędziwy Marsie,
nad Petersburgiem, w jądów tumanie
grzmot żałobnego z Połtawy marszu.

Niedarmo kwiecień zapłonął w styczniu,
miedzianych czasów imperatorze.
Pokój wieczysty barkom władczym,
któreś wznosił w błękit mistycznej zorzy...

O. OLŻYCZ

P O L E S I E

I

Duszno wieczorem. Dławią zadymione ściany.
Wyszedłem. Patrę. Po pas sięga śnieg.
Krwawi się słońce w puszczy. Cienie rozbiegane.
Głos jest głosem oliwnym. Ciemny zmierzch.

Skądś nadchodzi, Wigilja gdzieś stąpa szeroko.
Przyjdzie — gleby odkryją swą radosną ruń.
Stanie — i znów nad borem, znowu, jak co roku,
gęsi napną w błękicie wielkie mnóstwo strun.

II

Niebieszczy się sen-trawa na promienistych wzgórzach
i chyłą się niebiosą nad szumną sosen sławą.
Ten bór złocisty, szum ten, który powieki zmruża,
uśpieni ludzie, którzy nie znają słowa „prawo”.

Tu ziemia tylko pieści, upija, życie rodzi!
Szalony śpiew cietrzewi wlał miłość w każdy sęk!
Daleko — gdzieś — daleko, lekliwie lud przechodzi
i burza napotyka oręż w tysiącach rąk.

Wysmukłe moje ciało, jak srebrna wić sokory.
Pierś dyszy równomiernie. Krew się ustała na miód.
Tak to, póki na stępy, na chyżych fal przestwory
nie rzuci żądza morza, brokatów i pędu wprzód...

GAZETA POLSKA

rozpoczęła już
druk korespondencji

z polskiej wyprawy wysokogórskiej
na zdobycie szczytu
ACONCAGUA W ANDACH

J. E. SKIWSKI

KUPA FLAKÓW — W ŚRODKU MARZENIE

STANOWISKO

Trzeba sobie tego Céline'a jakoś wyjaśnić. Ale najpierw powiedzmy wyraźnie, że rzecz jest dużej literackiej już nie „klasy”, ale poprostu wartości; i — co jest konsekwencją tej oceny — że jeśli krytyka polska chce, by się z jej głosem liczyło, by jej „enujecje” nie wzbudzały politowania i nie podsuwały skojarzeń pastersko-kołodziejczych — to musi odesłać do licha wszelkie tak zwane „gesty oburzenia”, kładzenie tamy „rozkielzaniu najniższych namiętności” — i wogóle przegnać na cztery wiatry całą czeredę frazesów z repertuaru gazetkowej moralistyki *).

A teraz druga sprawa. — Czy ocena tej „Podróży do kresu nocy” czysto literacka: stwierdzenie „osiągnięć ekspresji pisarskiej”, „zdobyczy obserwacji”, „chwytów” i „posunięć” — może wyczerpać sprawę? Czy wolno odpowiedzialnemu krytykowi na takiej ocenie poprzestać? Czy wolno mu pominąć tę wstrząsającą sugestię moralną, która potężną falą bije z tej książki? Czy wolno zapomnieć, że ta „Podróż do kresu nocy”, właśnie dzięki sile ekspresji artystycznej może kształtować życie — że gra tu idzie o dużą stawkę? I czy pominięcie tych spraw i poprzestanie na analizie czysto literackiej nie byłoby właśnie stanowiskiem snobistycznie ubogim, pozostawiającym za nawiasem to, co najważniejsze, co jest krwią i oddechem dzieła? Odpowiedź na te pytania może być tylko jedna. Nie wolno. Nie chodzi tu o oddanie hołdu potocznej moralności, ale o spełnienie obowiązku krytyki, jeśli ma ona być czemś więcej niż zbiorem mdłych obserwacji o zewnętrznej powłoce dzieła pisarskiego, jeśli ma stanąć na tym poziomie, którego nieomylny w swych postulatami, choć tak omylny w sądach krytycznik zawsze od niej żądał i żądać będzie.

OD ZEWNĄTRZ

Akcja tej ogromnej sześciostronnicowej powieści narasta leniwie jak muł. Leniwie, ale zajmująco. Z zaporami, ani trochę nie potoczyscie, prawie koślawo, z nawrotami, powtarzaniem i niesłychanym gadulstwem. Widzę już wytworne ręce Julien Bendy, jak zalamują się w geście rozpaczony na widok tej chyba najbardziej nie-lacińskiej książki, jaką kiedykolwiek Francja wydała. Przeciwnie, Céline wprowadza nas we wszystkie uroki rosyjszczyzny i skandynawszczyzny. Ale zachował jednak coś z rasy francuskiej: ostrość. Żadnych niedopowiedzeń, ani śladu nieśmiałości w odsłanianiu się przed czytelnikiem, czego powstydziliby się taka dziewczica, choć zdeprawowana, jak wielki Dostojewski. Ta francuska ostrość nadaje książce akcent nowości. Nie chodzi tu o jakiś rekord nieprzyzwoitości. Tak zwanych „scen” można na kopy wyliczyć bodaj pięćdziesiąt w jakimkolwiek utworze „głosnego” autora francuskiego — i niefrancuskiego. Nowa jest tu zuchwałość, spokojne stanięcie na gruncie obserwacji, którego nikt tak otwarcie i tak poprostu nie zajął. Mówienie o rzeczywistości po imieniu zupełnie bez zastrzeżeń, nie-metaforycznie, a zarazem z niesłychanym natężeniem — oto istotna zdobycz ekspresji pisarskiej Céline'a.

Nasze wygi „narodowe” bardzo bujnie potrzęsały grzywami, pisząc o tej „Podroży” — że niby niebываłe i niesłychane, że tłumacz powinien być za drzwi wyrzucić wydawcę, który ośmielił się zaproponować przekład i t. d. Pomijając uroczą ludzkość tej „krytyki” — warto podkreślić jej jeszcze bardziej uroczą nonsensowność.

Nie wiem — i wątpię, żeby kiedyś udało się to ustalić historykom literatury — kiedy ludzie powiedzieli sobie, że pisać można o wszystkim. A jest to punkt bar-

do ważny. Bo to „wszystko” było zrazu bardzo nieśmiałe — dziś to jest Céline — a co będzie jutro? Klasyfikując zgruba, powiedzmy, że dwie są postawy w piśmarstwie: opiewająca i opisująca. Bohaterka i badawcza. Czy występowały kiedy w zupełnie czystej formie? Zapewne, a nawet napewno, nie. Bo czyż jest coś bardziej opiewającego niż „Illiada”, a czyż właśnie „Illiada” nie jest równocześnie skarbem obserwacji? — Mimo to wszakże, uważam samo rozróżnienie za dające się utrzymać. Opiewanie nie może się obyć bez różnych perwersyj artystycznych, bez aparatu obserwacyjnego, a więc bez badawczego spojrzenia — ale selekcjonuje starannie obserwację, i zgóry już zakreśla jej granice, podporządkowuje ją sobie. Tem właśnie różni się od literatury, gdzie obserwacja, badanie, staje się namiętnością pisarza i osią jego dzieła. Dwa te elementy: opiewania i badania wchodziły w dziejach literatury w związki najbardziej złożone i niesłychanie trudne do sformułowania. Przykładem klasycznym tej trudności może tu być twórca Dostojewskiego. Najbliższym znowu postawy czysto badawczej będzie chyba Proust.

Ale wróćmy do naszego tematu. Owóż, przyjmując — a ostatecznie w podanej tu formie nie jest ono trudne do przyjęcia — nasze założenie, trzeba powiedzieć, że skoro się wogóle ktoś godzi na postawę badawczą, skoro nie odmawia nazwy literatury (a to byłoby trudno) utworom, które z tej postawy wyrosły, — to niesposób owej pasji badawczej zakreślić jakichkolwiek granic. Właśnie badanie ma w sobie ten pierwiastek ciągłej regresji włąb rzeczy, który stanowi jego oś emocjonalną. Stawianie barier jest tu niszczeniem gatunku. Jeśli czytamy Hamsuna — dlaczegoż nie mielibyśmy czytać Céline'a? Jeśli „wybaczymy” Dostojewskiemu — dlaczego mamy nie wybaczyć Céline'owi? Ależ, jeśli czytamy pocziwie „Bez Dogmatu” czemuż nie mielibyśmy przeczytać „Podróży do kresu nocy”? Jest to tylko krok — co prawda olbrzymi — a raczej, skok włąb. Postawa jest ta sama. Tam wszędzie, gdzie człowiek daje się uwieść demonowi poznania, tam trzeba być zgóry przygotowanym na najciemniejsze przygody. Wolno nie wsiadać na to diabelskie koło, ale skoro już się wsiadło nie pora krzyczeć, że fruwają kiecki. A zresztą, na tem diabelskim kole jesteśmy wśród samych znajomych; nikt sobie bez tej zabawy życia nie wyobraża. No a skoro tak, to bez skromnych minek — i jazda dalej!

Tę treść podano nam po polsku. Przekład Wacława Rogowicza zasługuje na osobne omówienie. Zaznaczmy sumarycznie, że jest doskonały, a wynalazczość, bujność i giętkość polszczyzny, podążającej za wszystkimi kaprysami francuskiego oryginału krokiem tańczącym — zdumiewające.

TRESC

Kto czytał Remarque'a, ten nie będzie zaskoczony pierwszymi rozdziałami tej książki. Jest tu co prawda zasadnicza różnica atmosfery. Ogólny ton może nawet mniej ostry. Obserwacje mniej przejmujące, wzdęcie mniej udrumatyzowane. Ale stosunek autora do wojny i do własnej w niej roli daleko bardziej niż u Remarque'a wyzywający. Remarque, mimo wszystko, był żołnierzem. Traktował wojnę poważnie. Wiedział co to cnota żołnierska, rozumiał ją. Céline jest bezczelny. Wychwala tchórzostwo. Tu jest pierwsze wielkie świństwo tej książki: tchórzostwo jako cnota, jako niemal esencja człowieczeństwa. Właśnie nie humanitaryzm, nie współczucie z cierpieniem i stąd płynące potępienie wojny, tylko tchórzostwo nieosłonięte, otwarte, wyznające samo siebie. Tchórzostwo podsyte podłością, bo nie znające nawet zwykłej sympatii dla bliźniego, owszem lubiące pokrzepić się okrucieństwem, kiedy to nie grozi żadnym ryzykiem. Remarque był koleżeński. Jego książka to pod pewnym względem epos koleżeństwa, przyjaźni, solidarności. Céline'owi obce są te uczucia. Myśli tylko jak się wykręcić „o bezpieczeństwie, jak je oszukać. Gwizdnie do koleżeństwa. — Zresztą, pod względem artystycznym ta pierwsza część, wojenna, jest najsłabsza. Po Remar-

que'u niełatwo już dać czytelnikowi dość dużą dawkę emocyj wojennych, tak, aby naprawdę rozdziawił gębę. Ale Céline jakby się o to nie starał. Wogóle jego książka jest pisana z jakimś pozorem czy prawdziwym niedbalstwem. Ten sam cyniczny stosunek do czytelnika, co bohatera książki do życia. Bierz co chcesz, wachaj, próbuj, jedz, lub odrzucaj — nie mnie to nie obchodzi. Rozebrał człowieka do naga i pokazuje go ze wszystkich stron, nie fatygując się nawet, aby zatrzymać naszą uwagę na partjach najpikantniejszych, — i na to przyjdzie kolej, cierpliwości, nie ucieknie — zdaje się mówić autor.

Po tej książce płynie się raczej, niż się ją czyta. Jak po morzu. Przepłynęliśmy wojnę; jesteśmy teraz na okręcie. I tu są pierwsze stronicie usprawiedliwające rozgłos, który sobie zyskała ta straszna „Podróż do kresu nocy”. Konspiracja wrogięgo milczenia, która zawiązała się dookoła Ferdynanda jest oddana nadzwyczajnie. Ta utajona walka różnych gatunków psychicznych jest podpatrzeniem pierwsorzędem i otwiera ogromne perspektywy. Pisarz dobywa efekt z sytuacji milczącej; samo postawienie obok siebie tych dwóch gatunków ludzi: wojaków i tchórze — egoisty z poczuciem swego upośledzenia i zwierzęcym pragnieniem przetrwania — wywołuje krótkie śpięcie. Zwycięża gatunek przebieglejszy, działający na zimno — Ferdynand. Wyprowadza w pole najpierw kapitana, a potem całe towarzystwo. Narasta nie grozy, zgęszczanie się konfliktu oddane znakomicie. Ciekawy jest efekt moralny tego konfliktu: mimo że całe towarzystwo okrętowe jest bandą obiboków, może nicponiów, brutalów i awanturników — to jednak zwierzęca przebiegłość Ferdynanda, jego absolutnie zimny stosunek do ludzi, jego nerwowy wdech, dominujący nad wszystkim, sprawiają, że sympatjami jesteśmy raczej po stronie grupy kapitana. Zresztą, kto wie, może taki właśnie efekt zamierzał autor osiągnąć? Bo trzeba to ciągle pamiętać: Céline nie usiłuje swojego bohatera usprawiedliwiać, tłumaczyć jego podstępów, podłości, uwydatniać ich „istotnego” podłoża, przekonywać nas, że chociaż — „to jednak, w gruncie”. Nie. Tak jest jak jest, i taki właśnie jest człowiek. To jest moralność tej książki. Moralność, którą czytelnik zachłystuje się od pierwszej do ostatniej stronicy dzieła.

Akcja przenosi się na teren Paryża. Znowu wchodzimy w morze faktów i obserwacji. Ale nicią przewodnią jest sprawa Robinsona i Henrouille'ów. Robinsona, przygłupiego cwaniaka, lenia, nicponia, włóczęgi, zginełego spryciarza, żyjącego pół-swiadomością; podobnie jak bohater powieści, tylko bez towarzyszącej tamtemu jasności i samowiedzy, kręci się Robinson po życiu, aby coś tam złapać, czegoś użyć. Hedonista? — Przenigdy! Samo to słowo brzmi śmiesznie. Biologizm Céline'a czyni je niemal niezrozumiałym. Ci ludzie żyjący jakby bez oczu, tylko węchem i dotykaniem, nie zdobywają się na ujęcie swego do życia stosunku w jakąś doktrynę. Ambicje autora idą w kierunku uwydatnienia tej węchowej strony życia, pokazania jaka to wielka w nas wszystkich sprężyna. I to się Céline'owi nieraz udaje. Robinson jest obok Ferdynanda postacią centralną. Dramat Robinsona, Madelon i Robinsona Henrouille odsłania nam już do końca wizję świata autora. Céline odkrywa tu dwie warstwy świństwa. I oryginalnością jego jest, że zachowuje poważną lojalność wobec obu. Pierwsza — to rozkielzanie zmysłowe, obnażenie pożądlivosti ludzkiej w jej zupełnej, anatomicznej nagości. Tu trzeba przypomnieć Zofję-pielęgniarkę. Opis śpiącej Zofji należy niewątpliwie do najgłębszych miejsc tej książki i każe nam po-dziwiać intuicję odczucia ciała, którem z takim wirtuozostwem autor zablysnął. Sympatja, a raczej solidarność — bo sympatja to coś zanadto ludzkiego na Céline'a — wobec zachcianek ciała, całkowita ich aprobata, naga i przyrodnicza, bez próby bodaj jakiegokolwiek idealizacji filozoficznej — łączy autora — wyjąwszy tę właśnie jej nagość — z wieloma innymi pisarzami. Ale to jest warstwa zwierzęcna. Céline idzie dalej. Aprobuję świństwo w całej rozciągłości, we wszystkich wymiarach. Trudno czytać bez obrzy-

dzenia sceny takiej, jak scena policzkowania Madelon przez Ferdynanda przyznającego się, że pragnął to uczynić dla dania sobie dawno oczekiwanej satysfakcji, a równocześnie w tem nikczemnym przeświadczeniu tchórze, że nie ryzykuje niczem. W ohydzie konkuruje ta scena chyba z jedną jeszcze, z początku książki, kiedy dwóch rozwydrzonych łazików nabiera matkę zabitego żołnierza bezczelnie zelganiami opowiadania i ostatnich chwiałach jej syna, w ten sposób wyludzając z kobiety pieniądze. Tu znowu Remarque wydaje nam się najczystszej krwi idealistą. Scena z Lewandowskim, która tak bardzo ludzi gorszyła, (odwiedziny żony w lazarecie i sposób w jaki mąż z nich skorzystał) jest najczystsza sielanką w stylu Bernardin de St. Pierre'a. A inna scena z Remarque'a, gdzie kolega z placu boju klamie z litości przed matką zabitego, że syn jej poległ odrazu, ugodzony w serce, kiedy w istocie męczył się straszliwie — jest doprawdy lekturą budującą po tym potwornym Célinie.

ROZKŁAD W ZAWIESZENIU

Ale nie koniec na tem. Céline ma swoją filozofję. Od obserwacji bezpośredniej przechodzi do wizji świata.

Céline, a właściwie Destouches jest lekarzem. Obserwacja jego ma naturalny skłon ku fizjologii. Kojarzy to się z jego temperamentem pisarskim w pewną — jeśli tak rzecz wolno — potworną harmonję. W powieści Céline'a powraca nieraz myśl, że życie jest tylko rozkładem w zawieszaniu. Nictylko nie jest czcigodne, nictylko nie nakłada obowiązków — jest godne pogardy nawet w swej warstwie zwierzęcnej, zmysłowej, jest kaprysem fizjologicznym przyrody. Myśl o znikomości świata i marności spraw zostaje tu przetransportowana na terminologję prosekutoryjną. Życie w tej interpretacji jest dość błahą i dość obrzydliwą przygodą fizjologiczną. Autor zmiotł wszystko z drogi życia, nawet współczucie, nawe litość, która czasem nikłym tylko odezwie się głosem, nawet to ostatecznie refugjum słabych i zawiedzionych: roztkliwienie się nad własną niedolą i żądanie dla niej serca; nawet tę najsłabszą solidarność ludzką, solidarność biedy. Madelon, po dialogu wstrząsającym i stawiającym naprawdę Céline'a na piedestał wysokiej sztuki, przeszyla Robinsona kulami rewolwerowymi. I to też jest tak sobie opowiedziane, z tem nadzwyczajnym połączeniem lenistwa, niemal ospałości, gadulstwa — z napięciem dramatycznym, którego równych mielibyśmy szukać chyba u Dostojewskiego.

I COŻ MY NA TO?

Zauważmy przedewszystkiem, że linja po której poszedł Céline nie łączy się w żadnym punkcie z tem, co nazwałem kiedyś ideologją „życia ułatwionego”. To nie jest żadna walka o prawa człowieka w duchu hasła liberalistycznych: wolnej miłości, bezwyznaniowości, nieograniczonej swobody indywidualnej. Tamci zawsze jednak szacują życie wysoko, są to jednak idealisci, choć najlichszego i trochę upokorzonego godność ludzką gatunku. To jednak są ludzie wiary, choć wiary najbardziej skarlałej, najuboższej — i najnudniejszej. Céline staje poza temi sprawami. Jeśli sztydzi z wojny, to nie dla tego by ją zwalczał (jak Remarque), ale że mu zawadza, zawadza niejako fizjologicznie. Człowiek, którym się Céline zajmuje — to głodny szczur z kanału życia, szczur, któremu sprawa przyjemność porać się z tem życiem i wyprowadzać w pole inne szczury, byle przy tem nie oberwać po łbie. Niema tu walki o żaden ludzki „stan rzeczy”, przeciwnie, Céline widzi człowieka na jego poziomie biologicznym.

Czy wobec tego — zapyta ktoś — nie jest jedynym stanowiskiem poprostu odwrócić się plecami i machnąć ręką na to wszystko? Co mnie obchodzi kłopoty i osiągnięcia pana Destouches? Mój świat leży gdzieindziej. Nie chcę nic wiedzieć o ludziach-szczurach. Żyję w społeczeństwie, które wyrasta całym sercem i całą duszą ponad biologję i to mnie tylko obchodzi, co odbywa się na tym moim szczuble. Niech zmarle grzebią zmarle. My żywi wie-

* Trudno mi tu powstrzymać się, poprostu dla dobrego humoru, od zacytowania zawsze tak uroczego niekonsekwentnego „A. B. C.”, które najpierw umieściło szumną reklamę książki Céline'a z przedrukami znacznego wymiarka (tak!), a następnie, przybrane w znoszone szatki liturgji endeckiej „zgromiło” i „napiętnowało” reklamowaną książkę. Czyż można przejść się głębiej nakazem Ewangelji: „niechaj prawica nie wie, co czyni lewica”? I jeszcze mówią, że ende- oja nie jest katolicka!

my, że prawda pana Destouches nie jest całą prawdą, tylko złośliwą fotografią dołu kloacznego. My wiemy, że autor przysłał człowieka na jego najniższych poruszeniach, a pominął to wszystko, co stanowi istotę ludzkiego a nie szczerzego dramatu. Więcej — powiedzą — możemy p. Céline'owi wykazać, że popada w sprzeczność z sobą, bo ta społeczność ludzka, którą opisuje wraz z jej instytucjami, urządzeniami i idealami — jednak trwa i żyje. Jest pełna potwornych schorzeń i deformacji — to prawda, — ale kto charakteryzuje wszystkich jako oszukaństwo, ten głodzi samo pojęcie oszukaństwa. Jeśli jest możliwa ludzkość ohydna, to dlatego, że nosimy w sobie obraz ludzkości idealnej.

Ale ten rzymski gest wzgardy dla „kloaki życia” jest cokolwiek za łatwy. Biologia spotyka się, a raczej krzyżuje z człowiekiem idealnym. To nigdy nie przestanie nas zajmować i ten konflikt będzie wiecznie podejmować sztuka. Wygnanie myśli o tym związku będzie zawsze jakimś zasklepieniem się w rutynie, które wcześniej czy później wyrzuci ropiejacymi wrzodami obludy. Jesteśmy skazani na ciągle wierzenie w głąb wnętrza ludzkiego i nie wolno nam tylko zapominać, że to co tam znajdziemy, to nie jest cały człowiek. Zatrzymanie się na idealizmie stylizującym człowieka w myśl pewnego abstrakcyjnego założenia czy wzoru prowadzi i prowadzić musi do załamania,

obludy, marazmu. Brutalna analiza wnętrza ludzkiego to wentyl, który jest ludzkości potrzebny, by mogła kontrolować autentyczność swego idealizmu.

Pozostaje do rozstrzygnięcia sprawa, czy Céline działał w dobrej czy w złej wierze; czy obraz człowieka, który nam dał jest dla autora tym obrazem, którego chce, i na którym poprzestaje — czy, przeciwnie widziadłem, dławiącemu mu pierś. Czy to jest sen czy koszmar o człowieku? Pytania tego nie mogą rozstrzygnąć. Ale jakkolwiek jest, książka Céline'a w rezultacie prowadzi do umocnienia godności ludzkiej. Prawdziwy idealizm chce czuć pod nogami mocny grunt rzeczywistości, nie wstydy się nędy człowieka, chce ją poznać całą. Bo każde zdemaskowanie człowieka jest pogłębieniem jego idealizmu. Nie prowadzi ono nigdy do wniosku: skoro człowiek jest czemś tak marnym, to mój idealizm jest uludą. Prowadzi ono do wniosku innego zupełnie: jakkolwiek jest człowiek — wszystko przetrwam — i nie załamie się. Życie jest rozkładem w zawieszaniu, a człowiek kupą flaków w obrzydliwym marzeniu w środku — A więc trzeba z tem zwyciężać i z tym człowiekiem utrzymać się na najwyższym poziomie wiary w godność życia i godność ludzką. To jedyna odpowiedź idealizmu: przetrwać mimo wszystko. Kto chce przetrwać, ten nie zamyka oczu na to, co ma przetrwać.

Tu skrzypiał pierwszy warsztacik kilimiarski o pionowej osnowie i leciały białe wióry z mebli, ciosanych wedle najnowszych wzorów. Tutaj profesorowie: Jastrzębowski, Czajkowski, Tichy, niosący w sobie tradycję „Polskiej Sztuki Stosowanej” z przed ćwierćwieku i „Warsztatów Krakowskich”, sprzymierzyli się w wysiłku artysty i rzemieślnika z młodem, nowym pokoleniem uczniów.

„Ład”, jako spółdzielnia artystyczno-wytwórcza, powstała ze skromnych udziałów i wyczerpanej pracy uczniów i profesorów Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, założona w r. 1926, po sukcesach wystawy w Paryżu. Celem jej miało być projektowanie i wyrób przedmiotów z drzewa, metalu, włókna, szkła, gliny, kamienia, przedmiotów przemysłu artystycznego, składających się na całość pięknych, doskonałych formą i wykonaniem wnętrza.

Zakres tych celów mógł się rozszerzać lub kunczyć w miarę wzrastania potrzeb odbiorcy, podniesienia poziomu smaku, lub trudności kryzysowych. U podstaw ich jednak tkwiła i tkwi do dziś dnia niezmiennie surowa i skromna praca, wykonywana w warunkach najcięższych i bardzo prymitywnych. Poddasze Szkoły Sztuk Pięknych, kłitka za drewnianą ścianką o dwóch metrach kwadratowych powierzchni, czy dziesięć, niemniej skromne pomieszczenie na Czerniakowskiej, wieczny brak środków na surowiec, wieczna gorączka wysiłku i pośpiechu, wieczna groza kłopotów finansowych i gospodarczych są niewspółmierne z bogactwem rezultatów.

Natomiast z tem ubóstwem i ciasnotą środków idzie doskonale w parze sam charakter pracy artystów z „Ładu”, ich związek z rzemiosłem, ich nieustanna baczna piecza nad gatunkiem, obróbką i użytkowaniem materiału, ich fachowa czujność, poświęcona nie tylko rysowanemu projektowi krzesła, makaty czy garnka, ale towarzysząca wszystkim fazom ich realizacji. Srebrne włosy jedwabieści wyprzedzonego lnu, gruba, ostra wełna podhalańska, czy pokuckich owiec, pachnące drzewo o ślicznie zarysowanych słojach, szlachetny kolor, pędzony z roślinnych soków wedle najstarszych recept... A potem móżół pracy przy krośnie kilimiarskiej, rzuty czółenka biegającego tak wartko po osnowie, migające setki nicielnicy w Zakartowskich warsztatach, żar ceramicznego pieca i palce sparzone od farb.

Jeżeli już minęły czasy pierwszych szkolnych zadań i pierwszych prób, kiedy wykonanie projektu było własnoręczne od początku do końca, jeżeli już dzisiaj cały szereg warsztatów i cały szereg sił pomocniczych spełnia rolę realizatorów i powielaczy rysunku artysty, skromnie to zmechanizowanie i udogodnienie produkcji nie starło z niej jej indywidualnego piętna. Po dawnemu każdy odcień barwionej wełny, każdy supeł nici i zaciek szkliska nosi na sobie znamię myśli i artystycznej oraz technicznej wiedzy ich autora.

Szlachetna i utrzymująca się wciąż na najwyższym poziomie wytwórczość „Ładu” ma stąd wszystkie zle i dobre, wzniosłe i bolesne cechy pracy indywidualnej artysty w Polsce. Rezultaty tej pracy zapełniają wprawdzie coraz liczniejsze wnętrza, podnoszą coraz wyżej ogólny poziom produkcji, ze sklepu na Krakowskim Przedmieściu torują sobie coraz prostsze drogi do ludzi. Ale poza nielicznymi i dziś już coraz rzadszemi subsydjami rządowymi, żadna ręka nie wyciąga się z pomocą ku grupce tych zajadłych w pracy pionierów artystycznego rzemiosła, żaden kapitał nie chce podeprzeć chwiejących się ścian tak pięknie skonstruowanej budowy. Zwycięska w treści droga od pierwszych prób w szkolnych pracowniach do własnych, tępiących pracą warsztatów niepozbawiona jest żadnego z cierni, o które się potyka i rani każdy objaw „przyszłej w Polsce sztuki”, „najwyższego z rzemiosła apostoła”.

Łata się z dnia na dzień nietylko ściany przedmuchiwane przez wiatr Powiśla, wiążę koniec z końcem nietylko w nici snutego wątku, mota się nietylko osnowę na motowidle i kręci nietylko garncarskie koło. Ze skrzypem, postępowaniem, łomotem idą na przód warsztaty i coraz miśnierniejsze rodzą się zielonkawe, różowe, szare i rdzawe zwoje tkanin, połyskujące mazery sprzętów i węzłowate kilimy.

Artyści i współdzielnicy Ładu, który — wedle wszelkich budżetowych preliminarzy i finansowej logiki — powinien już oddawna



Ceramika proj. R. Krzywiec, wyk. „Ład”

przestać istnieć z braku wpływów i z ilości zobowiązań, umięją wytrwale przezwyciężać brak pieniędzy. I ani nawet wiedzą w ogniu zawsze pilnej roboty i w zamęcie kłopotów, jak ich piękna twórczość, ich rzetelne rzemiosło rozplenia się i wyrasta w wiele odnóg i gałęzi z rodzimego pnia.

Niedaleko Czerniakowskiej jest w Warszawie ulica Górnioślaska. Wyszedszy z nędznego pomieszczenia Ładu, gdzie w przewiewie nieszczelnych okien i w świedzie żelaznego piecyka stukają tkackie warsztaty, spuściwszy się po stromych, niewygodnych schodach, minąwszy parę podwórek, plotów, kałuż, trafiamy tam na nowe gmachy, lśniące szkłem okien i białością ścian. To wspaniałe, nowoczesne pomieszczenia szkół wyrosły tu jak grzyby po deszczu z inicjatywy rządu i społeczeństwa, dla sprawy przyszłego rozwoju rosnących pokoleń. Stajemy zdumieni wspaniałością państwowego seminarjum nauczycielek rzemiosła i przymierzamy do niego w myśli skromne izby ładowych pracowni. Tam pracują pionierzy, twórcy, inicjatorzy, tu kształcą się szary zastęp ludzi mających tworzyć ogólny poziom. Tam biedzą się i szarpią w pracy kierownicy i profesorzy, których techniczne zdobycze i wskazówki mają przygotować drogę drugim. Tamci wszystko musieli zdobyć własnym przemysłem i wytrwałością, by ci tutaj w swych pięknych szkolnych gmachach ze szkła, niklu i cementu dowiedzieli się prawdy o piękności, potrzebie i znaczeniu, artystycznego rzemiosła.

Szklanne domy przyszłości rosną i będą wzrastać dalej, ale bardzo rzadko znajduje się w nich miejsce dla tych, którzy budowali ich fundamenty, którzy głosili ich potrzebę z suteryn i z poddaszy. Może to i dobrze, może tak być powinno. Z twardych zmagających z rzeczywistością wyrasta samotnie kwiat najpiękniejszego rezultatu. I jeżeli już wysiłek pioniera musi być zawsze i wszędzie niedoceniony, zawzięty i krwawy, to niechże przynajmniej jaknajszerezej rozbudowuje się z jego zdobyczy ta powszechna produkcja, i konsumpcja, to szerokie i może nawet zbyt płytkie zrozumienie sprawy artystycznego rzemiosła, tak konieczne dla stworzenia nowego, pięknego oblicza rzeczywistości.



P. Plutyńska przy pierwszym warsztacie tkackim

H A N N A Ł A D MORTKOWICZ

Panowie z dyplomacji rozsiadają się wygodnie na fotelach krytych zielonkawą materią, na tle wzorzystych kilimów. Panie z arystokracji strząsają popiół z papierosa do popielniczek o mieniącej lub turkusowej polewicy i mrużą badawczo oczy, patrząc na

sy wystawy poznańskiej do dzisiejszych form, jeżeli policzymy wszystkie wysiłki, trudy, ofiary, przykrości, których suma przesądziła o powstaniu tylu pięknych, wytwornych przedmiotów — będziemy się musieli bardzo zdziwić.



Kilim

proj. Z. Czasznicka, wyk. „Ład”

wernisazach na lśniącej politurze mebli, na miękkości bladawych tkanin ze lnu i jedwabiu. Młode, studenckie lub urzędnicze małżeństwa stoją długo przed taflą okna sklepowego w Hotelu Europejskim, zastanawiając się, jaki to garnek lub makatkę, za jaką sumę oszczędności uda im się na przyszły miesiąc ściągnąć do swego jednopokojowego, jasnego mieszkania. Na posiedzeniach i fajkach, w poczekalniach ministerjalnych i w salonach, w gmachach poselstw i w blokach mieszkaniowych, na kolonjach i na Żoliborzu wiadomo już powszechnie, co to jest „Ład”.

Nazwa jest krótka, dźwięczna i wymowna; tkaniny, ceramika, meble są wytworne, piękne i szlachetne w pomyśle i wykonaniu i niewątpliwie tworzą dziś styl urządzenia nowoczesnych polskich wnętrz. A każdy z reprezentacyjnych pokazów, poczynszy od Wystawy dekoracyjnej w Paryżu w r. 1925, która zadecydowała o powstaniu spółdzielni, poprzez wystawę poznańską, aż do wczorajszej skromnej wystawy w IPSie, mającej uświetnić dziesięciolecie warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, odbywa się w atmosferze uznania i podziwu, w czystej, przestronnej aurze artystycznego wykwiutu.

I jeżeli teraz sprawiedliwie i sumiennie postaramy się przebiec myślą te siedem lat istnienia „Ładu”, od jego pierwszych chwil na poddaszu i w suterynach Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie poprzez świetne cza-

Bo ta drogocenna i kosztowna produkcja, polyskliwość nici, barw i szklisk, jak najdalsza pozornie od nędzy dzisiejszego dnia, mogąca rozkwitnąć na tle szklanych domów lepszej przyszłości powstała przecież nie w blaskach jakiegoś wysokiego protektoratu, nie w bogato urządzonej pracowni, nie z dostatności środków, czasu i siły.

Bardzo inaczej, bardzo po polsku, krzewi się ona i zakwita na nędznym gruncie warszawskiego Powiśla.

Na Powiślu jest pewien malutki skrawek trotuaru od rogu ulicy Tamka do gmachu ASP. Na tym szlaku można było kiedyś spotykać rankiem i z wieczora wielu ludzi, którzy dziś po kilku latach zabyliści pracą i talentem na terenie polskiej sztuki. Częściej można ich było spotykać w samym gmachu Szkoły, w pracowniach i warsztatach, przy staludze, przy prasie graficznej i rzeźbiarskim kawalecie. I tam to widziałam poraz pierwszy rzeźbiony profil koleżanki Plutyńskiej pochylony nad kadzią farb, w której smrodliwych wywarach miała się wygotować tajemnicza roślinnego, szlachetnego barwnika wełny. Tam kolega Kintop z połyskujących cienkich nici lnu wykływał z uporem wiązania i ornamenty, mające stać się podstawą ładowych tkanin, mieniących się srebrzystym, lub złotawym tonem. Tu skwarzyły się sekrety lazurowych lub tęczowych polew w ogniu małego ceramicznego pieca, w pracowni prof. Tichego.

WŁADYSŁAW TOMKIEWICZ

„RZECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA

Rewizjonizm historyczny jest czynnością pożyteczną i konieczną, jeżeli przeprowadzany jest na chłodno, „sine ira”, i nie ma na celu udowodnienia za wszelką cenę zgóry założonego twierdzenia. Jeżeli historyk postanowi sobie a priori, że to, co dotychczas uważane było za białe, musi być czarne, i dla potwierdzenia swej tezy wysuwać poczyni fakty dlań wygodne, a inne, obalające jego tezę, odrzucać — wówczas nie trudno mu będzie wywołać pożądany dla siebie obraz, lecz będzie to tylko efekt pozorny, obraz, jeżeli nie równie „odwrócony”, to w każdym razie jednostronny i skrzywiony. Rewizjonista musi z natury rzeczy postępować ostrożnie i oględnie, zwłaszcza, jeśli z dociekaniem swemi występuje nie przed gronem fachowców, lecz rzuca je w formie popularnej i przystępnej czytającemu i niewtajemniczonemu w sprawę ogółowi, który nie może często krytycznie ocenić przedstawionych mu dowodów, zwłaszcza, jeśli mu one podane zostały w zdaniach sugestywnych i pełnych werwy pisarskiej. Czytelnik-laik gotów jest zazwyczaj przyjmować bez zastrzeżeń wszelkie poglądy rewizjonistyczne, trafiające mu siłą sugestji do przekonania, a przynajmniej musi stanąć bezradnie wobec pytania: gdzie jest prawda?

Taki efekt wywołał cykl interesujących i z dużym ogniem pisarskim publikowanych artykułów pod ogólną nazwą „Ogniem i mieczem” a rzeczywistość historyczna, ukazujących się w „Pionie” (Nr. 3, 9 i 11)¹⁾. Autor ich, dr. Olgierd Górka, docent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, dotychczasowy badacz dziejów średniowiecza, przerzucił studia swe na wiek XVII i doszedł do wniosku, iż Sienkiewicz z winy historjografji (głównie Kubali) dał w „Ogniem i mieczem” całkowicie „obraz odwrócony” naszego społeczeństwa tej epoki, obraz nieodpowiadający rzeczywistości historycznej. Artykuły te, pisane z talentem, sugestywizujące szczerą wiarą autora we własne słowa, wywołały rozległe echo i spowodowały zrozumiałe zaniepokojenie, któremu wyraz dał Kaden-Bandrowski na łamach „Gazety Polskiej” (Nr. 339 z 8.XII.).

Kaden-Bandrowski uważa wspomniane wystąpienie za rewelację, zwraca się więc pod adresem historyków z ciężkim zarzutem: „Cóż robią ci historycy, jakże się kopią i ryją w tych niedostępnych dla laików papierach, szpargałach i pergaminach, skoro przez lat zgórą 50 dali się poniekąd zasugerować jednemu Kubali i jednemu Hruszewskiemu? Przecież papiery, szpargały, pergminy, z których czerpie Górka, znajdują się w bibliotekach, zbiorach naukowych, nie były, nie są dostępne jedynie dla Górki, mogli chyba w nich szperać i inni uczeni. Jeżeli szperali — jak to więc przez 50 przeszło lat dziedziła tych badań spoczywała odlogiem? Laik nie znajduje wyjścia z takiego dylematu... Cóż nam tu teraz powiedzieć historycy?” Przyznaję, że głównie apel Kadena skłonił mnie do zabrania głosu w tej formie i na tem miejscu — a to dlatego, by się nie wydawało, że badacz XVII w. przez milczenie aprobują wywody dra Górki.

Zanim przejdę do właściwego tematu — polemiki z dr. Górka — pragnąłbym w paru słowach odpowiedzieć Kadenowi-Bandrowskiemu. Owszem, historycy w ciągu ostatnich 50 lat „kopali się w szpargałach”, stanowiących dokumenty dla badań lat 1648—9, t. j. okresu, na którego przestrzeni rozgrywa się akcja „Ogniem i mieczem”; prace Kubali wraz z ich recenzjami naukowymi sprawiły, że temat ten, uważany za wyczerpany, nie mógł być chętnie podjęty na nowo, mimo to jednak dotykali się go historycy już dawniej (Pułaski, Czermak), jak i później, i to zarówno ze strony polskiej (Frąs, niżej podpisany), jak i ukraińskiej (Lipinśkyj, Tomaszewski, Korduba), nie mówiąc o Hruszewskim, atakowanym narówni z Kubalą przez dr. Górka. Historycy ci badali źródła rękopiśmienne i niejedno do zdobycy Kubali (i Hruszewskiego) dodali, niejedno zmienili, lub odwołali — jeżeli jednak zasadnicze

tezy jego zdołały się dotąd utrzymać, to po prostu dlatego, że dla obalenia ich nie znalaziono wiarogodnych dokumentów. Przeciwnie, dr. Górka dla dociekań swych nie przeprowadzał badań archiwalnych, co wynika zarówno z jego publikacji, jak i referatów wygłoszonych na zebraniach historyków, natomiast oparł je wyłącznie na przestudjowaniu bogatej literatury naukowej, opracowań i źródeł drukowanych, dobrze historykom znanych. Stąd fakty, przytaczane przez dr. Górka, nie są dla historyków „rewelacjami”, natomiast rewelacyjne są jego wnioski wyciągane z ogólnie znanych zdarzeń, oraz oryginalna intuicja (według terminologii dra Górki „wizjonerstwo”), jaką posługiwał się w tych wypadkach, gdzie brak danych dokumentarnych wywołuje lukę. Te „szczegóły”, które uzupełnia dr. Górka przeczczenia dotychczasowej historjografji tych czasów, zaczerpnięte są też z publikacji drukowanych, i sprowadzają się do dwóch-trzech niewiele nowego wnoszących przyczynków.

Tyle uwag ogólnych, wywołanych artykułem Kadena-Bandrowskiego — a teraz chciałbym przystąpić do właściwego tematu. Zaznaczam, iż treścią mych rozważań, jako historyka, nie jest dowodzenie gdzie i jakie błędy historyczne popełnił Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem”, który zresztą, zdaniem dra Górki, błędy te popełniał, idąc za wskazaniem współczesnej sobie historjografji, ściślej mówiąc — Kubali. Dr. Górka zarzuca jedynie Sienkiewiczowi, że, mając do wyboru między Szajnochą, Szujskim i Kubalą, oparł się wyłącznie na tym ostatnim — natomiast oświadcza (słusznie), że nie można atakować Sienkiewicza przed uprzednią rozprawą z historjografją polską. To też, abstrahując (narazie) od autora Trylogji, rozpatrzmy jak wygląda „rozprawa” z Kubalą i jego późniejszymi kontynuatorami.

Lwia część artykułów poświęcona została obaleniu t. zw. „legendy” Jeremiego Wiśniowieckiego, pragnę więc przedewszystkiem dotknąć tej kwestji. Zarzutów jest tak wiele, że trudno na nie szczegółowo odpowiedzieć, by nie nadużyć gościnności „Pionu”, to też ograniczyć się muszę z konieczności do najważniejszych. By usunąć nieporozumienie, zaznaczam zgóry, że nie jestem bezkrytycznym wielbicielem księcia Jeremiego, czemu dałem wyraz w swej o nim monografji, nie mogę się jednak zgodzić na większą część niesłusznych, mojem zdaniem, zarzutów, które postanowiłem, dla dobra prawdy historycznej, odeprzeć.

Książ Jarema, to (zdaniem dr. Górki) jedynie „banita, podstępny rabuś, knujący, jak większość magnatów, zdrady na prawo i lewo”, to „konglomerat podstępnej rabuszy, groźnego przy korzystnym zbiegu okoliczności napastnika, równocześnie zaś zdecydowanego tchórza wobec poważnego niebezpieczeństwa i możliwości poważnej walki”. Epitety te, podobne do tych, któremi w swoim czasie chrzczył Jeremiego (i nie tylko jego) Władysław Lipiński, mają uzasadnienie nie tyle rzeczowe, ile emocjonalne. Dr. Górka wyznaje wszak zupełnie szczerze, że o Jeremim Wiśniowieckim nie może mówić inaczej, jak tylko „cum ira”. (Nawiasem mówiąc, nie można powiedzieć, żeby „ira” była odpowiednią busolą dla historyka — sprostaważ go ona najczęściej na manowce).

Część prawdy w charakterystyce tej jest: Wiśniowiecki przyjemnym sąsiadem nie był; korzystając z siły, urządzał niejednokrotnie najazdy na cudze włości — ale o tem doskonale wiemy, historjografja nieraz o tem mówiła. Jeżeli chodzi o banicję, to każdy, ktokolwiek badał stosunki polskie w XVII w., wie, że była to jedna z najpospolitszych kar, jaką sądy ówczesne stałe szafowały, że np. w czasie tym, jak mówi Rolle, nie było w województwie kijowskim szlachcica, któryby na barkach swych nie dźwigał choć jednej takiej banicji. Wyjaśnienie to nie ma bynajmniej na celu obrony Wiśniowieckiego, którego procesy sądowe i ich wyniki są historjografji znane; natomiast nie jest znany zupełnie fakt, by który z sądów skazał na banicję Jeremiego Wiśniowieckiego — w aktach sądowych dotychczas wyroku takiego nie odnaleziono.

Wynika z powyższego, że epitet „banity” powstał zapewne „per iram” — tak, dla kompletu.

W powyższej charakterystyce wojewody ruskiego, najbardziej uderza miano tchórza i zdrajcy („knął na prawo i na lewo”), dotychczas niespotykane. Oto Wiśniowiecki, ni mniej ni więcej, tylko wskutek „zdradzieckiej zmowy” z Chmielnickim nie przychodzi hetmanowi Potockiemu z pomocą i w ten sposób przyczynia się do katastrofy korsuńskiej. „To zaś, naprzykład, — czytamy — jest „szczegółem” nieznanym nauce polskiej”. Istotnie, jest to „szczegół” nieznanymi i polskiej i ukraińskiej historjografji, no, bo — poprostu ani niema na to dokumentów, ani też całe postępowanie Wiśniowieckiego nie dawało powodów do podobnych domysłów. Historjografji dotychczasowej wiadomo było, że Wiśniowiecki posyłał dwukrotnie do Potockiego z zapytaniem gdzie i kiedy ma się stawić ze swem wojskiem, lecz definitywnej odpowiedzi nie otrzymał, wobec czego pod Korsuń nie zdążył. (m. in. dia-rjusz Maszkiewicz). Czy dr. Górka znalazł jakieś listy z tych czasów, wymieniane między Wiśniowieckim z jednej a Chmielnickim i Potockim z drugiej strony? Niel Wywody oparte są na innych przesłankach. Korzystając z wiadomości (znanych dobrze historjografji), że Chmielnicki po Korsuniu wysłał poselstwo do wojewody ruskiego z „podziękowaniem” za to, że się pod Korsuń nie stawił na czas, ofiarował mu trzy konie i gwarantował bezpieczeństwo, byle Wiśniowiecki za Dniepr nie przechodził, stawia się wniosek: „zmowa”, boć przecież „sam char., jako wielki prezent posyłał W-emu tylko jednego konia”. — Druga przesłanka: w początkach czerwca, gdy chłopci zburzyli Łubnie, Chmielnicki ich ukarał, a dwóch posłał W-emu. Wniosek: „solidny kontrahent”. Trzecia przesłanka: Potocki był wrogiem księcia, to też ten nie posilkował go, przagnął zguby hetmana. Ogólny wniosek: „zdrada”.

Przypatrzmy się bliżej tym przesłankom. O tem, że hetman kozacki (już po bitwie korsuńskiej) posyłał list do Jeremiego, wiemy z listu samego Chmielnickiego. Kronikarz ruski Wieliczko (Letopis I, str. 87) mówi, że w liście tym prosił Chmielnicki księcia, żeby nie „gniewał” się nań za to, co się stało pod Korsuniem i „gniewu swego na niego, Chmielnickiego, rozszerzyć nie raczył”, gdyż powodem całej wojny był Czapliński. Co się tyczy owych koni i „podzięk” za Korsuń, to wersję tę znamy z listu niejakiego Czołhańskiego, klienta Dominika Zasławskiego; list ten, pisany znacznie później po rzekomym fakcie, był echem różnych legend, krążących o perypetyjach W-go na Zadnieprzu (mówiono przecież we Lwowie i Warszawie, iż uciekł w 15 koni to do Moskwy, to do Braclawia i t. d.), pisany był ponadto przez człowieka, który nie był świadkiem tych spraw, lecz słyszał je z trzecich ust, to też mógł podać wersję przekręconą, a wyrażenie o „dziękowaniu” mogło być poprostu dowcipem autora, jeśli się weźmie pod uwagę, że list był pisany do wroga W-go. Jeżeli nawet treść listu tego całkowicie odpowiadałaby prawdzie, i Chmielnicki posłał księciu trzy konie (niech ta liczba nie niepokoi dr. Górki, bo, widać, hetmana kozackiego stać było na większy gest, niż skąpego chana, a konie te, jeśli były, zdobyte zostały zapewne pod Korsuniem) i „dziękował” za Korsuń — to były to zapewne kpiny, na które Chmielnicki często pozwalał sobie po odniesionych zwycięstwach. Dlaczego? Oto z tego poprostu powodu, że całe późniejsze postępowanie Jeremiego przeczy hipotezie dra Górki.

Przypuśćmy, że między wojewodą i wojskiem kozackim stanęła „zmowa” już przedtem (choćż znana nam z opowieści korespondencja miała miejsce dopiero po Korsuniu). Dlaczego zatem Jeremi, mając zapewne kłopoty korsuńskie, które nie daje jeszcze wiary, rusza nad Dniepr, by się przeprowadzić na Ukrainę prawobrzeżną i połączyć z niedobitkami korsuńskimi? Dlaczego rozsyła podjazdy na linji Czerkasy — Ryzyczew, by ściągnąć promy? Dlaczego nad Dnieprem każe ścinać kozaków kaniowskich, którzy przeszli na stronę Chmielnickiego? Czemu „so-

lidny kontrahent” Chmielnicki kazał przyholować wszystkie promy na prawy brzeg rzeki, by nie przepuścić „przyjaciela”? Dlaczego Wiśniowiecki, mimo zawartej rzekomo „zmowy”, nie pozostaje na Zadnieprzu, a uchodzi na Polesie, by wszcząć walkę z kozakami na Ukrainie?

Dr. Górka dowodzi, że Jeremi dopiero po pominięciu go w regimentarstwie zmienił front i rozpoczął walkę z Chmielnickim, czemu jednak już 31 maja pisze list do prymasa o konieczności walki, czemu 4 czerwca, przy przeprawie przez Desnę, wydaje uniwersał do szlachty, wzywając ją do szeregów? Czemu w prywatnym liście do przyjaciela Hlebowicza już 7 czerwca pisał, że idzie „in obviam temu nieprzyjacielowi” (rkp. Kras. 309 str. 84)? Dlaczego już z Polesia pisze do kanclerza o konieczności akcji zbrojnej, skoro o odsądzeniu go od regimentarstwa dowiedział się dopiero w połowie czerwca pod Zytomierzem? A gdy go wreszcie pominięto — czemu nie wraca na Zadnieprze i nie oddaje się pod opiekę „solidnego kontrahenta”, a, przeciwnie, rozpoczyna z nim walkę?

Wreszcie, dowiadujemy się, że Jeremi nie poszedł pod Korsuń przez nieprzyjaźń, jaką żywił ku Potockiemu. Nieprzyjaźń ta rozwinęła się dopiero na dobre w r. 1650, po powrocie hetmana z niewoli, jeżeliby jednak tak nawet było, jak chce dr. Górka, to czemu Potocki, w licznych swych usprawiedliwieniach z racji Korsunia, gdy oskarżał swych podkomendnych i kolegów, nigdy nie wystąpił z podobnym oskarżeniem pod adresem W-go? Czemu wrogię księciu stronnictwo kanclerskie, wytykając mu różne przewinienia na sejmach, ani razu nie zahaczyło o Korsuń? Dlaczego to Chmielnicki, który później, jak to się mówi, „psy wieszał” na księciu, nigdy go przed Rzpłitą nie zadenuncjował o ugodzie przedkorsuńskiej? Przecież taką wiadomością pogrzyźby go ostatecznie w oczach opinji publicznej! Kronikarz współczesny, Jerlicz (Latopisiec str. 66) mówi wyraźnie, że panowie nie wspomogli hetmana pod Korsuniem „dla uporu hetmańskiego, który nie chciał żadnego, ani króla samego słuchać”. Na innym miejscu dr. Górka orzekł, iż powiedzenie to odrzuca, bo nie wierzy kronikarzom — czemu tedy wierzy jednemu tylko Rudawskiemu, który mówi, że Potocki przez trzy dni zwlekał z bitwą, oczekując na W-go? Dlaczego odrzuca powiedzenie tego kronikarza Rusina-schizmatyka, który wówczas przebywał w Kijowie i zapisywał notatki na gorąco, a przyjmuje nieprawdopodobną wersję (nie mógł Potocki „czekać”, gdy mu kozacy na pięty następowali) historyka, który omawiane zdarzenia wpisywał po wielu latach, siedząc nota bene zagranicą? Zdarza się to często — przyjmuję się tylko te źródła, które dogadzają, odrzuca inne, niewygodne.

Czemu Chmielnicki usiłował zjednać sobie księcia? Na innym miejscu wyjaśniłem tę sprawę szczegółowo („Jeremi Wiśniowiecki”, str. 206—7), tu streszczę, iż był to jeden z wielu manewrów, polegających na różnieniu między sobą magnatów polskich. Hetman kozacki pragnął istotnie zatrzymać W-go na Zadnieprzu, by odsunąć go od wszelkiego wpływu na wojsko Rzpłitej, gdyż wiedział, że dowództwo w rękach jego oznacza bezapelacyjną walkę z kozakami. Gdy wszelkie próby dyplomatyczne okazały się bezużyteczne, a książ, zamiast regimentarzem, stał się tylko dowódcą własnej dywizji, można go już było ogłosić turbatorem pokoju. Z tych wszystkich względów twierdzenie o rzekomej „zmowie” należy odrzucić stanowczo, jako na niczem nieopartą hipotezę. Idąc bowiem po tej linji dowodzenia, możnaby dojść do wniosku, że i dalsza akcja Jeremiego jest dobrze wyreżyserowanym ciągiem owiej „zmowy”: oto Wiśniowiecki rozpoczyna walkę z kozakami, by nie dostarczyć podejrzeń Rzpłitej, a kozakom dać pretekst do nowej kampanji; ucieka w „zmowie z Chmielnickim” z pod Pilawiec i „świadomie” wywołuje panikę; opuszcza Lwów i Zamość, by je wydać w ręce „kontrahenta”, a wreszcie zjada zadość ogórków, by przez swą śmierć ułatwić Chmielnickiemu zawarcie umowy białocerkiewskiej. Możliwy i tak rozumować, tylko że wówczas należałoby „sine ira” przyznać, że „solidny kontrahent” był właśnie

¹⁾ Artykuł niniejszy złożony został w połowie grudnia ub. r., ze względów jednak natury technicznej nie mógł być wcześniej opublikowany (przyp. Red.)

„ZNA” W KRZYWEM ZWIERCIADLE

kniaź Jerema, który za wszystkie usługi, oddane Chmielnickiemu, otrzymał zaledwie „trzech koni tureckich”.

Następna kwestja — tchórzostwo. Twierdzi się, że Jeremi był tchórzem, bowiem uciekł z Zadnieprza, uciekł z pod Piławic, uciekł ze Lwowa. Ucieczka z Zadnieprza oznacza po prostu, że książę nie ufał swemu rzekomemu „kontrahentowi”; jakże bowiem miał nie uciekać, skoro kozacy, uniemożliwili mu przeprawę przez Dniepr, odcięli go od reszty kraju i mogli w każdej chwili osaczyć, lub zmusić do ucieczki na terytorjum moskiewskie?

Ucieczkę z pod Piławic przypisuje dr. Górka w głównej mierze Wiśniowieckiemu, jako „szefowi wszystkich zbiegów”, który do Lwowa uciekł „bez portek”. Sprawa przedstawia się cokolwiek inaczej. Bez wątpienia, piękniej byłoby zostać na miejscu i zginąć choćby samopięt, ale też nikt z historyków nie stawiał Węgo na równym poziomie z Zółkiewskim. Nie był jednak Jeremi „szefem” wszystkich uciekinierów, i nie uciekał jeden z pierwszych. Dowództwo naczelne nie w jego spoczywało rękach, lecz Zasławskiego i Ostrogora, to też oni, jako wodzowie, ponoszą główną odpowiedzialność. Jeremi jeszcze o świcie był w obozie (Grondzki „Historia białej” str. 78), podczas gdy główny regimentarz dobiegł już w tym czasie do Konstantynowa. Do Lwowa pierwszy przyjechał wychwalany przez dra Górkę Ostrogor, ten sam, którego Zasławski oskarżył, iż pierwszy wszczął panikę (Rkp. Czartor, 143 str. 175). Któż walczył z kozakami bezpośrednio przed ucieczką? Kisiel, Koniecpolski i Wiśniowiecki, podczas gdy inni „zgoła serce stracili”. Przysnaje to sam Kisiel, świadectwo chyba niepodważalne: „Nastąpił z jednej strony książę wojewoda ruski, z drugiej strony chorągwy koronne z chorągiewami swojemi” (Michalowski str. 206). A gdy na sejmie koronacyjnym wynikła kwestja sądu nad piławczykami, kto żądał śledztwa w sprawie ucieczki? Wiśniowiecki i Tyszkiewicz. Kto opierał się dochodzeniu? Zasławski i popierający go Ossoliński. Kiedy książę Dominik składał relację z pogromu, czemu winę za panikę przypisywał to Radziejowskiemu, to Tyszkiewiczowi, a nie wspominał o Wiśniowieckim? Czemu oszczędzał swego rywala i dotychczasowego wroga?

Kwestja ustąpienia Wiśniowieckiego ze Lwowa nadaje się do dyskusji. Ja osobiście zgadzam się z Kubalą, że zamknięcie się Węgo we Lwowie nie przyniosłoby pożytku państwu, a samo miasto naraziłoby wtedy właśnie na ruinę. Lwów nie był wówczas miastem bardzo obronem, i, ani bohaterska obrona mieszczań, ani 3 i pół tysięczna siła Wiśniowieckiego niewieleby wskórała, gdyby Chmielnicki rozporządzał większą ilością czasu (zbliżająca się zima) i uparł się naprawę, by miasto zdobyć. Przeciwnie, gdyby się był książę zamknął we Lwowie, nie przestałby Chmielnicki szturmować, by schwytać znicznawidzonego wroga, czemu wyraz dał niejednokrotnie i w słowach i w czynach. Już poprzednio w tym celu czynił wypad do Wiśniowca, nasyłał zamachowców na życie księcia, a, stanąwszy pod Lwowem, oświadczył wyraźnie miastu, iż przyszedł jedynie po Wiśniowieckiego, którego nie przestanie ścigać choćby do Gdańska. Dr. Górka słusznie mówi, że Jeremi oszukał Lwów, lecz poza Lwowem była jeszcze cała Rzplita — nie mógł żaden wódz zamykać się z jedyną zorganizowaną siłą wojskową w słabo warownym mieście, podczas gdy państwo było bezbronne, a w drodze było 5000 luźnych żołnierzy, którzy ciągnęli z opóźnieniem do obozu, a których należało zjednoczyć i przeformować w spoiwą armję.

Skoro już mowa o Lwowie, niesposób nie wspomnieć o jego „okradzeniu”, które przypisuje się Wiśniowieckiemu. Nie on to brał te pieniądze i nie on się z nich wyliczał, lecz Radziejowski, któremu wytykano brak 15.000 zł. Jeremicemu można jedynie zarzucić, iż wziął dość wysoki „traktament” dla siebie, jako wodza (16.000 zł.) i dla innych dowódców (Ostrogor wziął 8.000 zł., Radziejowski 10.000 i t. d.).

Nie można każdego wodza, który się cofa przed nieprzyjacielem, posądzać o tchórzostwo.

Zresztą dr. Górka pomawia Wiśniowieckiego również i o tchórzostwo osobiste. Czemu patrzy tylko jednym okiem, a drugie ma zamknięte celowo? Przecież dr. Górka wie, że w bitwie żołnierskiej Jeremi osobiście prowadził kontratak jazdy, trzykrotnie uderzając na szaniec kozacki; musiał śnać być w ogniu, skoro konia pod nim zabito. Dr. Górce wiadomo przecież, że takie same natarcia prowadził osobiście Wiśniowiecki i pod Konstantynowem, i pod Starcem, i pod Zbarażem, i pod Piławcami, i pod Beresteczkiem, i w szeregu innych pomniejszych walk. Czemu się o tem nie mówi?

Zkolei, skoro się wymieniło już te miejscowości, należy wspomnieć o Beresteczku i Zbarażu, które zostały tak poważnie zaatakowane. Słuszny zarzut stawia dr. Górka Kubali, Hruszewskiemu i ich następcom, iż siły wojsk walczących przedstawiają przesadnie. Istotnie, siły te należy zredukować, lecz czy akurat o 85%, powiedzieć z całą pewnością nie można, gdyż przekazów źródłowych, precyzujących tę kwestję wyraźnie, niema. Nawiasem zaznaczyć tylko należy, że historjografja, mówiąc o armji Chmielnickiego, miała na względzie nie tylko regularną siłę kozacką, lecz również i posilkującą ją masę uzbrojonej czerni.

Nie można się natomiast zgodzić, by dotychczasowy obraz bitwy beresteckiej był „skomponowany”. Bez wątpienia, talent pisarski Kubali unosił go często i nasuwał mu niepotrzebną frazeologję, natomiast główna treść tej bitwy została przedstawiona przez historjografję zgodnie z rzeczywistością, co łatwo można sprawdzić w krótkim lecz fachowym szkicu tej bitwy, umieszczonym niedawno w „Encyklopedji Wojskowej”. Specjalnie pod znakiem zapytania stawia dr. Górka udział w tej bitwie Wiśniowieckiego. Być może, że powiedzenie, iż Jeremi „z gołą szablą w rękę, bez zbroi i bez czapki na głowie pędził jak w taniec” jest zwrotem nieco teatralnym. Nie będziemy się spierali, czy w dniu tym był Wiśniowiecki w pancerzu czy bez, czy mu wiatr zerwał z głowy czapkę, czy nie, choć obrazu tego nie skomponował Kubala, lecz powtórzył go za kronikarzami (Rudawski, Pastorzy i inni). Natomiast prawdą jest, że w rozstrzygającym dniu bitwy Wiśniowiecki pierwszy uderzył z lewego skrzydła, prowadząc do ataku osobiście 18 chorągwi jazdy. „Ruszył się zaraz sam książę z lewym skrzydłem, sam osoba swoją 18 chorągwi, po sześciu na skwadron, przywódząc” (Diarjusz Oświęcimski, str. 339). „Posunął się z lewym skrzydłem p. wojewoda ruski — pisze Miaskowski, dworzani królewski — i dwanaście chorągwi kwarcianych kredeńskich wojsku, za niemi w posilku 6 kozackich, rajtarskich, województwa łęczyckie, sandomierskie. To tedy lewe skrzydło w tłumie nieprzyjacielskim przez dwie godziny trwało, jeno huk, strzelanie ręcznej strzelby, tak, żeśmy rozumieli, że się stamtąd nikt wrócić nie miał zdrowo” (Rkp. Ossol. 2286 K. 166). Zapomniał dr. Górka również dodać, że rozpoczęcie ataku zarządził król na wyraźne żądanie Węgo, a „było ono konieczne w tej chwili (Jan Kazimierz proponował odłożyć bitwę do następnego dnia), gdyż kozacy poczuli się właśnie okopywać, do czego nie wolno było dopuścić. Słusznie dr. Górka mówi, że Jeremi (po bitwie) nie chciał przejść na drugą stronę obozu kozackiego, uważając 15.000 ludzi, których mu król powierzył, za siłę niewystarczającą (fakt znany dobrze hi-

storykom), dla przeciwwagi dodaćby jednak należało, że cała bitwa berestecka inaczej możeby wyglądała, gdyby właśnie nie Wiśniowiecki. Oto Chmielnicki, nie chcąc króla atakować w obronnym obozie beresteckim, udał, że cofa się na Dubno, by zwyczajem, wypraktykowanym pod Zborowem, napaść na siły polskie przy przeprawie przez Ikwę, tak jak to był uczynił nad Strypą. Jan Kazimierz manewru tego nie zrozumiał i 27 czerwca zwinął obóz, by iść w ślady za nieprzyjacielem. „Już i wozy poszły i wojsko w polu stało”. Chmielnicki, powziawszy przez szpiegów wiadomość, że król wyruszył z obozu, zawrócił natychmiast, dążąc szybkim marszem na spotkanie. Sytuacja mogła być groźna, bo Jan Kazimierz „nie miał żadnej pewności o bytności ani zamysłach Chmielowych”, ale „stał natenczas na straży sam książę jego mość”. Wiśniowiecki, który w osłonie flankowej podchodził w tym czasie pod Wiśniowiec, zdolał przez podjazdy otrzymać wiadomość o pochodzie kozackim, przesłał ją natychmiast królowi z prośbą o nieruszanie się z obozu, gdyż „nieprzyjacieli idzie nas przejmować w drodze”. Wiadomość ta, powzięta w porę, pozwoliła „polskiemu Gustawowi Adolffowi” cofnąć się do obozu i stoczyć walkę w pomyślnych warunkach (patrz list Miaskowskiego z 27.VI.1651 do królewicza Karola. Rkp. Ossol. 2286 K. 165).

A teraz Zbaraż. Dr. Górka twierdzi, że „gdyby Zbaraż Kubali i Sienkiewicza, sam jeden tylko, był prawdą, mogłyby być Jeremiemu darowane wszystkie jego winy”. Gdzież to Zbaraż Kubali (abstrahując od literackiej transkrypcji Sienkiewicza) mija się (poza liczebnością sił nieprzyjacielskich) tak bardzo z prawdą? Twierdzi się, że bohaterami zbaraskimi byli wszyscy inni, a nie Wiśniowiecki, gdyż 1) naczelne dowództwo spoczywało w rękach Firleja i Lanckorońskiego, 2) Jeremi miał w swej dywizji najmniejszą liczbę wojska, bo tylko 1000 ludzi, 3) zajmował najbezpieczniejszy odcinek obozu, bo prawe skrzydło, położone naprzeciw Tatarów, którzy nie brali udziału w walkach okopowych.

Nikt nigdy nie przeczył, że zwierchnimi wodzami byli nominalnie Firlej i Lanckoroński, natomiast wszystkie prawie źródła stwierdzają, iż Wiśniowiecki był duszą obrony zbaraskiej i w wielu wypadkach obóz od paniki obronił. Mógłby, gdyby chciał, zostać nawet wodzem. Przecież, gdy wojsko Firleja cofało się pod Zbaraż w poplochu i nieladzie („ta nasza retirada — pisze sam Firlej — równa ucieczce była, bo ja nic symulować nie umiem”), zwrócono się do księcia, by wszedł do Zbaraża ze swymi ludźmi, a Lanckoroński chciał mu swej buławy polnej ustąpić, której zresztą książę nie przyjął. Wiśniowiecki przed wejściem do Zbaraża miał nie 1000 ludzi, lecz 3000, licząc w to oczywiście chorągwie synowców, Zamojskiego i wojewody sandomierskiego. Wyliczenie swoje oparł dr. Górka na kronice Kochowskiego, (dlatego m. in. stawia księcia wśród wodzów na czwartym miejscu, ponieważ Kochowski dywizję jego wyliczył po dywizji Ostrogora), lecz już w recenzji o pracy ks. Frąsja (Przegląd Hist. Wojskowy, rocznik IV/1 str. 135) wykazałem, że obliczenia te są nieścisłe, gdyż w innych dywizjach spotykamy różne chorągwie Wiśniowieckiego, a trudno przypuszczać, by je odstąpił innym dowódcom.

Odcinek Wiśniowieckiego nie był najbezpieczniejszy. Postanowiono go właśnie w tem miejscu najczulszem, bo widok Tatarów (Piławce!) wzbudzał w wojsku największą trwogę. Wystarczyłby odtworzyć sobie sytuację obozu zbaraskiego, lub choćby spojrzeć na plan sytuacyjny, sporządzony przez Frąsja, by zdać sobie sprawę, iż sforsowanie odcinka Węgo narażałoby się na katastrofę. Zresztą, okazało się, że prawe skrzydło nie było nieczynne, lecz przeciwnie, narażone na ustawiczne ataki, gdyż kozacy uderzali ze wszystkich stron. Ataki na skrzydło Węgo odbywały się we wszystkich większych i mniejszych szturmach, począwszy od 14 lipca, na co się wszystkie źródła zgadzają. Dlaczego mamy spuścić zasłonę na wycieczki, które Jeremi osobiście prowadził z obozu? Czemu odrzucił wszystkie przekazy o tem, jak dwukrotnie powstrzymał ucieczkę z szańców do zamku? Dlaczego zapomina o tem, że był dobrym żołnierzem, sypiał na walach, wszędzie dodawał otuchy swą osobą? Chyba dlatego, że byłoby to sprzeczne z założeniem zgóry twierdzeniem, że Wiśniowiecki był tylko „tchórzem, zbrodniarzem i zdrajcą”. Czemu odrzuca się wszystkie ówczesne relacje, różniące się z sobą czasem w szczegółach, ale zgodne w ogólnem założeniu?

Tu dochodzimy do zasadniczej kwestji. Dr. Górka odrzuca wszystkie przekazy źródłowe, mówiące na korzyść Wiśniowieckiego, gdyż uznaje je za inspiracje księcia, tego „mistrza autoreklamy”. Jakże to, więc hymny na rzecz księcia pisali nie tylko jego ludzie, jak Białobłocki, czy Maszkiewicz, ale i oficer Firleja Radwański, i zupełnie obcy Wujuk-Kojałowicz, Oświęcim, kronikarze Temberski, Grondzki, Twardowski, Rudawski, nie mówiąc o dziesiątkach bezimiennych autorów diarjuszów, spoczywających w rękopisach, a więc nie obliczonych chyba na „reklamę”? Czyżby na juragielce Jeremiego był i kanclerz litewski Radziwiłł i Francuz Chevalier i Włoch Viminia? Jakże potężny wpływ musiał wywierać ten kniaź, skoro w tym czasie pozbawiony był całej fortuny zadnieprzańskiej i musiał od podkomendnych pożyczać 4000 zł.

Nie było pieniędzy, a „fama” była. Kto ją zrobił? Obok panegirystów podobno jeszcze i Żydzi („trąba jerychońska”). Stosunek księcia do Żydów wcale nie „został ukryty w cieniu”, bo historjografja, w miarę posiadanych dokumentów, wykazała, że Żydom dobrze się działo na Zadnieprzu, a Jeremi 500 rodzin żydowskich uprowadził stamtąd przed szablą kozacką. Jeżeli Żydzi robili reklamę księciu, to dobrze świadczy o ich wdzięczności. Dr. Górka nie posiada na to jednak dostatecznych dokumentów, powołując się jedynie na znaną kronikę Hannovera, „w której znaleźć można (może nawet główną) podstawę tej famy o Wiśniowieckim”. Jakże to, więc ta w hebrajskim języku wydana kronika, i to nota bene dopiero w r. 1653 (Wenecja), na żargon tłumaczona około r. 1725 (Amsterdam) na język polski dopiero w 1914 (Lwów), krążyła po dworach szlacheckich i szeregach wojskowych i stała się „główną podstawą” famy Jeremiego? Jakoż z tą „trąbą jerychońską” niedobrze.

Jeżeli się zgóry odrzuci wszystko to, co niewygodne, a wstawi się zamiast tego własne supozycje, wówczas bezwzględnie otrzyma się obraz skrzywiony, taki, jaki się chce otrzymać, a nie taki, jaki był w rzeczywistości. Jeżeli się każe badanym przez się dzieciom odbijać w krzywym zwierciadle uprzedzeń, wówczas otrzyma się pożądany efekt, lecz nie będzie to naturalnie obraz rzeczywisty, lecz urojony, o kształtach karykaturalnych. Przy takim użyciu aparatu naukowego można będzie zobaczyć, że Wiśniowiecki był „gorszy” od Sicińskiego, Bogusława Radziwiłła, czy Lubomirskiego, no bo... nie zerwał sejmu (zrywał je Ossoliński), nie połączył się z wrogiem ościennym i nie podniósł przeciw królowi rokосу.

Ale — krzywego zwierciadła lepiej przyrewizjonizmie historycznym nie używać.

BAL MŁODEJ ARCHITEKTURY

1 L U T Y

ELŻBIETA
SZEMPLIŃSKA

HISTORJE GRAFOMAŃSKIE

Rozłożyła się w ostatnim, czwartym rzędzie galerji, z głową odrzuconą w tył, z nogami opartymi o poręczę trzeciego rzędu.

Przymknięte oczy, okrążone szminką, leżały tajemnicze i leniwe w głębokich oczodolach, jak piękno-barwne plazy w moczach. Ukarmionowane, mokre, lubieżne, wspólnotwarte usta ssaly muzykę, jak winogrono. Każdy dźwięk — grono. Cała orkiestra — ciekący, złoto-granatowy sok.

Jakiś ton rozkolysał się na czarnej, nieruchomej frazie, jak zygzakowaty promień rudego, zwiastującego wiatr, księżycy, na stawie. Wielka, lubieżna blondyna zanurzała się w tej chłodnej, nocnej, śpiewającej wodzie i wypływała znów. Soczyste krople spływały z jej ciężkich piersi.

To wszystko myślał sobie Miecz, który pisywał powieści pod pseudonimem Anzelma. Jestem grafomanem — myślał. Nic we mnie nie śpiewa, nic ze mnie nie wytryska, nic mi nie każe tworzyć. Poprosto, łatwiej jest mi pisać, niż siedzieć w biurze czy w sklepie, a przytem ambicja, zarobek, tak, tak, dobrze być artystą, który pisze tak głupio, że go wszyscy czytają... Moja kochanka, Kizia, która jest nauczycielką, uwielbia mój dowcip, a moja siostra, Zuzia, uważa mnie za geniusza. Czytelniczki moje codziennie przysyłają mi listy, zwąc mnie w nich: tragicznym, lirycznym, demonicznym i ironicznym. Toż samo dotyczy mych czytelników i przyjaciół. Tem, że stoją oni na poziomie intelektualnym — kur, nie ja będę się martwił.

Miecz siedzi w trzecim rzędzie, słucha „Lohengrina“, i zerka poza siebie. Na galerji jest ich tylko czworo: on, blondyna, jej ciemna towarzyska i ich towarzysz w szarym garniturze.

Co za wychowanie! — myśli Miecz o blondynie. Choćby nikt nie widział ale nogi pozakładać na poręcz, to dziękuję. Kim ona może być? — myśli jeszcze. I jakie stosunki łączą ją z tą ciemną i z tym młodzieńcem?

— Nie rozumiem — mówi ciemna towarzyska — nic nie rozumiem, o czym wy zawsze tyle rozmawiacie...

Głosik jej jest blady i strapiiony.

Wielka blondyna przerywa jej. Wynurzając się z fali, zwraca się do młodzieńca w szarym garniturze:

— Ta beztreść porywa.

Mała wzdycha: i znów nic nie rozumiem.

Młodzieniec milczy. Grafoman Miecz jest bliski podejrzenia, że młodzieniec ten również nic nie rozumie. Za to nie jest pewien, czy on sam rozumie cokolwiek. W głowie jego powstaje pewien plan. Działania? Nie, powieści — nowej powieści.

Otóż pewien młodzieniec w nowym garniturze ma narzeczoną o strapionym głosiku, i kochankę o lubieżnych ustach. Otóż kochanka i narzeczona są siostrami. Otóż pewnego dnia wybierają się oni do teatru, i tam narzeczona pojmuje, że jej ukochany jest kochankiem jej siostry. Otóż wówczas, tak, cóż wówczas? A przytem jaki właściwie ma być charakter tej naiwnej narzeczonej? Czy ma być głupia, czy też ufna, piękna czy brzydka? I w jaki sposób wypełnić to, co się dzieje, zanim pójdą do owego teatru? I jaką znów ma być kochanka? A narzeczony? I pocóż zaręczili się? Może ona jest bogata? A może jej grozi staropanieństwo? A może? I dlaczego jest narzeczonym jednej siostry, a kochankiem drugiej? Przez wzgląd na co,

czy z jakiego powodu, tych zaręczyn nie zrywa?

Takie są myśli grafomana. Tymczasem opera kończy się i musi on biec co sił za trójką, która stała się jego własnością, i która chce mu zwać z pierwszej karty powieści.

Nie potrafię nic wymyślić! Nie wiem, czy dlatego, że jestem grafomanem, czy też wogóle tak jest. Nie potrafię pisać o niczym innym, tylko o sobie i swem życiu. A cóż jaby mógł napisać o swem życiu?



W moim życiu nic się nie zmienia. Nie mam nawet krewnych, którzyby umierali. Nie zdradza mnie żona, bo jej nie mam. Z teje przyczyny nie urządza mi awantur. W życiu moim nie widziałem bandyty, ani innego kraju, poza ojczystym. Cóż więc ja mogę napisać o sobie?

Napisałem już przecież: „Dzieciństwo Miecicia“, książkę dla dzieci. „Jak Janek został młodzieńcem“ — dla młodzieży. „Pycha geniusza“ i „Miłostki kawalera“ — dla dorosłych. W pierwszej powieści miałem swe imię chrzestne, w drugiej Jana, w trzeciej Adama, w czwartej Roberta, a teraz staję przed zagadnieniem: Co jeść, skoro niema pieniędzy, i co pisać — skoro niema przeżyć.

Myśli te nie przeszkadzają jego krokom i oczom, wytrwale biegnącym za uciekającą trójką.

Zawiąże z nim znajomość, z tym w nowym garniturze, i wypytam o wszystko — postanawia. Ale czy to tak łatwo, o pierwszej w nocy zawiązywać znajomości literacko-eksperymentalne? Weźmie mnie za homoseksualistę, pijanego, lub żebraka, i w najlepszym razie ucieknie. Nie może mi uciec!

Lecz w tej chwili trójka zatrzymuje się przed bramą.

Skończyło się — lka coś w pisarzu.

Pędzi na palcach, machając rękami ku zegnającym się. Chwała Bogu, więc nie wszyscy tu wejda! Zapewne obie siostry tylko. On zaś — ach, tak, podejdzie do młodzieńca, trzymając w ręku swój stary pugilares, i zapyta go, czy zgubił to. Młodzieniec, z pewnością, z wylaniem pocznie mu dziękować za oddanie zguby, którą właśnie dopiero co zauważył, a wówczas już nie trudno o pogawędkę. Pugilares jest próżny, może go złożyć na ołtarzu sztuki.

Towarzystwo dzwoni do bramy.

Ta o strapionym głosiku mówi coś, i

Miecz słyszy ostatnie słowa: — jest zawsze pijany. Dzwonić trzeba około pół godziny. Mogę przecież poczekać sama.

Ach, takie buty — więc ci dwoje odchodzą, to gorsza sprawa — myśli Miecz.

W teje chwili parka, która widocznie się znudziła czekaniem, aż przerwie swój sen pijany dozorca, żegna swą ciemną towarzyszkę i odchodzi.

Miecz biegnie za nimi. Oni wchodzi do cukierni i zajmują stolik. Cóż teraz więc? Staje bezradnie pod o s z k l o n ą s z y

— Myśli pani pewnie o moim bracie — zaczyna Miecz. Lecz w porę urywa. Ona to bierze za żart. Śmieją się. Miecz obserwuje ją z pod oka, mówi:

— Wcale nie jest pani strapiiona. Ani ciemna, chociaż ciemniejsza od swej towarzyski. I czego to pani nie rozumiała wciąż w teatrze?

— Ach, więc pan też był? A, to pan siedział przed nami. To była moja koleżanka. Ona leci na brata mego szwagra. Jest strasznie mądra. Pracuje w księgarni. Mówi tak, że się nic nie rozumie. Sam pan może kiedyś posłuchać.

Zaszli do ogrodu. Nad staw. Usiedli na kamieniach.

Było lato.

Miecz mówił o jej oczach, o jej ustach, o jej włosach. Ona uśmiechała się i potrząsała długimi, brązowymi lokami, i przepływała z ręki piasek.

— Proszę mi to dać — rzekł nagle Miecz.

— Co?

— Ten piasek.

Spojrzała na niego zdziwiona i zszypała garść ciepłego, miękkiego mialu w jego dłoń. Zacisnął rękę. Jej ciepło, ciepło jej ręki miał w swej ręce uwięzione.

— O, ciepła moja.

Wiatr szumiał. Miecz patrzył w oczy Marji. Wiatr poruszył jednym jej brązowym lokiem i musnął jego czoło nad brwią.

— Chciałbym być wiatrem — rzekł Miecz namiętnie. Potem dodał:

— Przepraszam panią.

Marja pochyliła głowę. Uśmiechała się.

— Czy jest pan szoferem? — spytała. Zadrżał.

— Szoferem? Jestem literatem.

— O, rzekła cicho Marja. Dumiała chwilę. A potem: Przed szoferem wszyscy muszą zmiatać. Każdy się boi jego maszyny. A on nic, jedzie sobie, jak król.

Miecz skurczył się. Zobaczył siebie jako szofera, i wydało mu się to piękne.

— „Wszyscy muszą zmiatać“ — ona podziwiałaby mnie, gdybym był szoferem, jak Zuzia i Kizia podziwiają, ponieważ jestem grafomanem. Wszystko proste przed chwilą i szerokie, jak ziemia wiosenna, tocząca się wokół słońca sennie, kolebiąca słodko, zgamtało się i zwikłało.

Wrócili do domu. Milczeli. Marja była smutna. Miecz myślał o Renem, tak, tak on się będzie nazywał, i o Melanii, takie będzie jej imię. Miłość. A potem zdrada. Tak. Muszę ją zdradzić.

— Więc? — rzekła Marja.

Stali przed jej domem.

— Kiedy? — spytała.

On jeszcze dobrze nie wiedział, jak ma postępować. Notował sobie w pamięci jej rysy, jej słowa, jej załkniiony i wyciekający teraz wyraz twarzy. Znów miała swój strapiiony głosik. Rzekł:

— Kiedy chcesz, Marjo.

— O! — szepnęła.

Potem podeszła bliżej.

— Masz takie oczy... — rzekła.

Chciał objąć ją i pocałować. Lecz nie, nie chciał, aby powieść jego była tak krótka. Musiał mieć dużo pieniędzy.

— Dowidzenia, Marjo. W środę, o piątej.

Tak więc jest. Ona bogata i zakochana, on biedny i zakochany w jej siostrze. Aha. Dlatego zimny. Zaraz dziś będzie pisał. Zacznie się od zaręczyn. Takie ciche zaręczyny, nad rzeką.

Wstawi to potem. Miłość jego i jej przedstawi jako miłość Renégo z jej sio-

strą Jadwigą. Może mieć na imię Jadwiga. Zaś Melanję, Melanję sam wymyśli. Co zrobi Melanja, gdy się dowie, że René ją zdradził?

Albo siostrę zabije, albo jego. Może lepiej, aby poszła do klasztoru, wciąż go kochając? Albo nie, jego zniechęca i — albo nie — będzie się spodziewała dziecka, lecz jemu nic nie powie. Będzie na ich ślubie uśmiechnięta. A potem — będzie wychowywać jego dziecko, bez skargi, z uśmiechem na bladych z tęsknoty wargach.

— Melanjo, czego pragniesz najbardziej?

— Co? Co ty mówisz, Miecz?

— Czego pragniesz najbardziej, Marjo?

— O, powiedziałeś jakieś inne imię. Ty nie myślisz tylko o mnie, ty masz jakąś dziewczynę, Miecz...

— Ach, nie, ukochana, Marjo moja. Czy chcesz być moją narzeczoną?

Siedzą znów na kamieniu nad stawem.

— Tak — mówi Marja.

Miecz obejmuje ją i całuje, i raz jeszcze pyta, co jest jej największym pragnieniem.

Wtedy Marja musi opowiedzieć bardzo długą historję. Gdy była młodsza, bardzo kochała zwierzęta. Chowala myszy i żaby nawet. A z kotem to już zawsze spała. Kocha bowiem to, co ciepłe jest, miękkie, dobre, miłe, bezbronne. A także zawsze chciała, aby ją ktoś bardzo kochał.

— Narzeczony, czy pies, czy przyjaciółka — mówi — to już mi było wszystko jedno. Bylebym wiedziała, że bardzo mnie kocha.

Mówi tak długo, swoim żywym, melodyjnym głosem, który wcale nie jest strokany.

Miecz nie może się doczekać końca tej opowieści.

Powieść jego p. t. „Miłość prawdziwa“ już drukują w gazecie. Dziś dostał zaliczkę, chce kupić coś swej Marji, opiera głowę na jej kolanach, przez szorstką, welnianą, pachnącą duszkiem, biednym mieszkaniem sukienkę, czuje ciepło jej ciała i powtarza:

— Ale, czego chcesz? Czego najbardziej pragniesz, Marjo?

Marja kończy więc:

— A teraz ty mnie kochasz. Nie chcę już więc psa, ani przyjaciółki. Z kotem jednak śpię jeszcze zawsze, bo jest taki właśnie, jak twoje włosy. Widziałeś? Stałam wtedy przed sklepem z futrami, wtedy, gdyś podszedł pierwszy raz, gdyś mnie tak okłamał, że jesteś przyjacielem mego brata. A więc, ja chcę futro. Jest tam jedno. Takie wielkie, miękkie. Na raty. Co prawda — rude, choć ty masz włosy czarne. Ale napewno jednak tak miękkie i ciepłe i jedwabiste, jak twoje włosy.

— Będziesz je miała, Marjo. Będzie cię ono tuliło i obejmowało i ogrzewało, abyś nie mogła o mnie zapomnieć. O tem, że jestem taki ciepły, i o tem, że mam takie miękkie włosy.

Marja pochyła głowę. Miecz całuje jej zimne usta i zimne, twarde, duże ręce.

O życiu z Marją myśli Miecz. O wiecznej miłości z kędzierzawą, łagodną, wesołą, jak owca, Marją, bohaterką swej powieści. O tak, Marja wyjedzie z René'm daleko, a Melanja, oszukana Melanja, zostanie, śmiejąc się szyderczo. Miecz sądzi, że taka łatwa i łagodna i spokojna miłość, jak ich, nie byłaby ciekawym tematem dla powieści.

A więc, Melanjo — kończ swą rolę, a potem z Marją będziemy szczęśliwi.

Miecz, teraz, gdy spotyka się ze swą Marją, w dzikim, pustym, wieczornym

parku, nazywa ją swym lisem i swem kudłatem zwierzątkiem. Marja śmieje się i obejmuje go futranami ramionami.

Jest już chłodno, futro w sam raz się przydało. A Miecz płaci cierpliwie raty, choć nie zawsze może zjeść obiad, i raduje się nieraz, myśli, że nie jest już grafomanem. Coś w nim się otwarło, coś w nim śpiewa. O, bo jego życie stało się pełne i głębokie, i on się stał pełny i głęboki — pelen Marji, głęboki przez miłość dla niej.

— Nie wiedziałem, że tak dobrze mieć drugiego człowieka — mówi jej.

Nie może jednak zapomnieć o swej pracy, tembardziej, że pracuje teraz dla Marji.

A więc — zbliżamy się ku końcowi — Melanja dowiaduje się, że jest zdradzaną i —

* * *

— Miecz, widziałam cię wczoraj.

— Tak?

— Szedłeś z jakąś kobietą.

Miecz milczy. Idą obok siebie przez chropawę, zasypaną liśćmi, ścieżki. Obserwuje on z pod oka twarz swej Melanji. Widzi, jak walczy duma z cierpieniem, jak brwi ściągają się w gniewie, jak drżą smutne, niespokojne usta. Wreszcie mówi ona:

— Szedłeś z nią pod rękę.

On wciąż milczy.

Badawcze, krótkie, niedowierzające, niespokojne spojrzenie:

— Czy to twoja siostra?

Miecz milczy. Zaraz potem obejmie ją i wyjaśni wszystko, i ucałuje. Teraz jednak musi czekać. Teraz jednak jest René'm, przewrotnym i zakochanym, zakochanym w Marji, siostrze Melanji. I René milczy.

— Chyba jesteś mi winien uczciwe słowo — mówi ona jeszcze i opuszcza głowę. Jej małe, suche usta, podobne do warg kozy, szczypią w zmieszaniu rude włosy futra.

René:

— Jutro bądź tu, Melanjo, o szóstej. Teraz muszę wracać.

— Me-Me-lanjo?...

Potem odwraca się ona i odchodzi. Biedny, rudy lisiek. Kochany, smutny niedźwiadek.

Miecz wraca do domu. Pisz. Pisz. Czekaj jutro. Jutro, cóż będzie jutro? Co uczyni Melanja? I jak to zrobić, aby zaobserwować co myśli ona, spodziewając się, że ją zdradził. Spóźni się trochę, a potem ukryje w krzakach i będzie patrzył — tak.

A jeśli ona nie przyjdzie wcale? Tem lepiej. Pobiegnie do niej. Powieść się skończy tem prosto, że Melanja nie przyszła na ostatnią schadzke, domyślając się już, że René ma wyznać, że jej nie kocha.

Wieczny ci odpoczynek, Melanjo! Adieu-Fruziu!

A potem Miecz pobiegnie do Marji i opowie jej wszystko. Albo nie. Pobiegnie do niej i przeprosi i powie, że ma siostrę i powie, że kłamał, a dlaczego, tego jeszcze nie może wyznać. A później, później, przyniesie jej książkę p. t. „Miłość wieczna“, w której jest tyle o jej oczach, i o jej ustach, i o tem, jaka jest ciepła i jaka dobra i jaka słodka. O, i zacznie się — miłość wieczna.

Lecz nazajutrz ogarnął go lęk. I wzmagal się. I rósł. Miecz siedział więc przed oknem i czekał, aż wybijie szósta. O tej godzinie miał spotkać się z Marją. Czy jest już ona tam? Czy czeka? Co sobie myśli? Czy on nie jest podły? Że też mu to na myśl nie przyszło. Czy też mu Marja przebaczy?

Mija więc pięć minut, dziesięć, piętnaście, trzydzieści...

Tak, całe pół godziny. Zawsze pierwszy przychodził on. Lecz i ona była punktualna. Czy czeka jeszcze? Ach — nie umówili się wyraźnie, gdzie. Ale chyba będzie na ławce, przy bramie. Tu się schodzili czasem. Niema jej? Niema — poszła już!

A może nie było jej wcale!?

I czemu ten lęk?

Marjo!!

Obiegnę cały park, a potem do niej.

— O, przebac mi, teraz wiem, byłem głupi.

— A może podły?!

— Ale nie chciałem, Marjo. Czy bardzo mnie kochasz? Czy przebaczysz mi? Tu jej niema, i tu, i tu.

Biegl, podskakując, przez chropawę ścieżki.

— Ach, to gnily liście jesienne.

W mroku woniało gniciem, ziemią i okrucieństwem tajemnic. O, gwiazdy, o, gwiazdy, powtarzał Miecz, podnosząc ręce w górę — miał ciężkie, grube palto, które nie pozwalało mu wyciągnąć rąk pionowo ku niebu, rozwierał więc je poziomo i machał śmiesznie rękawicami.

Na niebie przewalały się szare, futrzane chmury, a gałęzie drzew dygotały w ciemnościach, i szczękały zębami, i podstawały mu pod nogi korzenie.

Potknąwszy się raz jeszcze, dobiegł do ostatniej ławki — Melanji i tu nie było.

Nie przyszła, zesłała mi wreszcie z drogi, cieszył się bohater. O Marjo, o Marjo, o Melanjo — lkał Miecz.

Tam niebieszczył się staw i siał mu w twarz chłodny oddech. O, Melanjo — byłoby to nieoczekiwane, gdyby skoczyła do wody — myślał autor. Bardzo silna pointa. Miecz, dławiąc się swem sercem, oddechem, gardłem i żołądkiem, biegl, zataczając się, widząc ją skaczącą z mostu, widząc jej świetliste futerko lisa, jej łagodną twarzyczkę owcy, narzucające się w czarnej wodzie.

Czyżbyś mnie aż tak kochała? Czyż naprawdę tak bardzo mnie kochała?

Tyle tylko, że biegl, tylko tyle, że dygotał, że serce w nim biło, że oczy dawały się ludzi cieniem drzew i latarni — doszukując się zarysu jej postaci.

O Marjo, Melanjo, Marjo!

Anzelm, René, Miecz stali na moście. I tu jej nie było — czarna woda szumiała ostro i zimno po kamieniach.

O Marjo, Melanjo!

Wśród kamieni leżało lisie futerko, błyszczący nosk lakierka wystawał nad wzbijające się fale, żółty kwiat pływiał tam, gdzie Anzelm, René, Miecz — mogliby się spodziewać twarzy, białej twarzyczki angorskiej kozy o brązowych lokach.

O, moja głupiutka, to było przecież na niby, to...

Chmury przetoczyły się glucho, zaszumiały piórami cieni po wodzie, wyłoniły z siebie żółte ziarno księżycy. Światło polalo się na wodę, na kamienie, na lisie futerko.

Jęcząc, schodził z mostu Anzelm, René, Miecz. Po szorstkiem, skrzypiącym od przymrozku zboczku, po żwirze syplikim, po ruchomych głazach, po oślizgłych korzeniach, niżej i jeszcze niżej, — ku czarnej, martwej wodzie, ku świetlistemu futru Marji, które wciąż żyło, mokre i sprężyste.

Nogi zanurzały się po kostki, a potem po kolana, palce dotknęły futra, loków i policzków.

Anzelm, René, Miecz kłęczeli w wodzie, trzymając w ramionach mokrego, żywego, olbrzymiego lisa, w którym tkwiło, niczem martwa dusza futra, skostniałe, drobne, sztywne ciało. Bezwładnie opadały ręce, bezwładnie staczała się głowa. Anzelm, René, Miecz poszukali ustami małych, kamiennych warg, wielkich, kamiennych oczu. Chmury zaszumiały piórami po wodzie, po głazach, po trzech obłąkanych mężczyznach, i polknęły żółte ziarno księżycy.

Napisane w roku 1928.



DYSKUSJE

NAGRODA NA BANKIECIE

Kiedy się wprowadzało na obrady samorządów kwestję nagród literackich i artystycznych pisarzy narodowi i rozliczni Mille-roidzi krzyk wielki wyczyniali, że nie rozumieją sensu i potrzeby tych nagród, że ja z powodu tych nagród ciągle bankietuję, że należy je inaczej organizować, niż postanowiono. Trzeba było tym malkontentom tłumaczyć wówczas, przekonywać, teraz już rozumieją sam sens instytucji, chodzi im tylko jeszcze o poszczególnych laureatów.

P. J. E. Skiwski, który niedawno ku przydatkowi publicystyki literackiej zjechał do Warszawy, nasłuchał się widać na prowincji tych narodowych rwetesów i teraz znowu on wymyśla mi od bankietowców; teraz znowu p. Skiwski nie rozumie o co chodzi, teraz znowu p. Skiwskiemu tłumaczyć wypadnie od początku tę sprawę na tle nagrody Polskiej Akademii Literatury dla Młodych.

P. Skiwski zarzuca tej nagrodzie: określenie wieku laureata: 30 lat, względnie 32 lata, zważywszy, że dane dzieło ma być napisane do 30 roku życia, nagroda zaś obejmuje dwa ostatnie lata kalendarzowe. Kryterium wieku na tle naszego życia literackiego uważa P. Skiwski za wręcz szkodliwe, gdyż piśmiennictwo nasze współczesne jest niedojrzałe, jeżeli chodzi o starszych pisarzy. A młodzież, awangarda tyłu jest słaba i krzykliwa. Opieka nad młodem pokoleniem winna się ograniczać do umożliwienia im pracy wewnętrznej, kształcenia się pisarskiego a nie w dopingowaniu ambicji wy dawniczych.

Po co nagroda dla młodych? Lepiej wyznaczyć nagrodę dla dzieła niepoczytnego, albo dla powieści historycznej z nieefektywnej epoki (?) albo za najlepszy dodatek literacki przy którymś piśmie codziennym, albo dla dzieła naukowego?

Dalej powiada p. Skiwski, że ja broniąc pomysłu nagrody dla Młodych chcę zapobiec naiwnym „walkom” i niezrozumieniu pomiędzy starszym i młodszym pokoleniem pisarzy, chcę wzmocnić łączność między pokoleniami, przymusić starszych do czytania najmłodszych.

P. Skiwski z okrzykiem — do diabła, — oczom własnym nie chce wierzyć, że to ja wszystko to piszę i powiada, że psychologia bankietowca mną powoduje. Naiwność, bankietowość i t. d.

Idźmy kolejno: wiek. Po cóż ten wiek? Odeślę p. Skiwskiego do wielkich artystycznych dyscyplin francuskich, do wspaniałej instytucji Prix de Rome, do wszystkich konserwatorów, wreszcie do wszystkich życiorysów, w których mimowoli — musi być wiek. Człowiek żyje oddo. Żyje też mniej więcej okresami (dzieciństwo, młodość, dojrzałość, starość) wszędzie tu znaczy wiek; od tyłu lat do tyłu można to, potem tamto. Potem na starość może już nawet nie. To trudno. Wiek. Okresy i wiek.

Genjalny outsider przekroczy wiek, naogół jednak można stwierdzić, że w pewnym wieku artyści debiutują, w innym rozwijają się ku swojej pełni, w innym jeszcze kończą.

Nagroda dla Młodych ustanowiona jest przez instytucję artystyczno-społeczną dla sił artystycznych tkwiących w społeczeństwie, nie na bezładnej wyspie, czy na księżycu, czy w kategoriach wyjątkowego przypadku, lecz w społeczeństwie. Sienkiewicz. Zeromski, Sieroszewski, Orzeszkowa, Konopnicka, Prus, Reymont, Nalkowska, Chojnowski, Iłakowicz, Orkan, Wyspiański, Chopin, Mendelssohn, Beethoven, Wagner, nawet ja debiutowaliśmy mniej więcej w tym samym wieku. A Mozart debiutował, kiedy miał cztery lata. A Pugno, kiedy miał 45. Doświadczenie wiekowe poucza jednak, że naogół konkretny debiut w pisarstwie to lata od 20-tu do 30-tu.

Ten debiut, jako Polska Akademia Literatury chcemy ułatwić, podkreślić, zaakcentować przed ogółem. Nie możemy jednak jako Akademia „umożliwiać pisarzom pracy wewnętrznej i kształcić ich pisarsko”. Nie otworzymy przecież dla nich konfesyjonałów kształcenia wewnętrznego, nie będą nas też ci młodzi adepci prosili o korepetycje. Może, o ile zdoła zyskać ich zaufanie, po-

trafi to zrobić jakiś krytyk wyjątkowy. Może właśnie p. Skiwski?!

Jako Akademia możemy młodemu dać nagrodę. Hucpy wydawniczej nie rozwinię to chyba pośród naszej młodzieży literackiej. Przeszło stuletnie doświadczenie uczy (boję się sięgać dalej) że jak kto ma co do napisania, to już do 30-tego roku życia zaw sze drukował, nie pytając się o to ani żadnej Akademii, ani starszych pisarzy, ani nawet tak czujnych i zręcznych publicystów, jak p. Skiwski.

P. Skiwski powiada wyraźnie, że granica wieku jest szkodliwa, bo starsze pokolenie współczesne jest „niedojrzałe” a młodzi „słabi i krzykliwi”. Trudno mi mówić za współczesne starsze pokolenie, za Iłakowiczównę, Staffa, Leśmiana, Berenta, Nalkowską, Chojnowskiego, Rostworowskiego i t. p. Jeżeli o mnie chodzi, jako o jednego z pisarzy tego pokolenia, — chętnie u p. Skiwskiego potęminuję i szczęśliwy będę, gdy choć w późnym nieco wieku uda mi się u mego mistrza Skiwskiego zdać literacką dojrzałość, otrzymać patent maturalny. Niech mi potem inni zazdrozczą!

Co do młodych: Pan się myli (póki się jeszcze u p. Skiwskiego nie uczę, mogą sobie pozwalać na familjarność) nie są krzykliwi i słabi. Za duży wpływ wywierają obecnie na Pana fanatyczna surowość Skwarczyńskiego i nieublagane wymagania p. R. Kołonieckiego. Nasi najmłodszy, jak Choromański, Rusinek, Szemplińska, Balicki, Flukowski, Rudnicki, Gojawczyńska to pierwszorzędne talenty!

Na to właśnie jest nagroda Polskiej Akademii Literatury, aby wybierając, wieńcząc tych najzdolniejszych wywołała ich z nieprzemyślanych biadolin i głądolin pesymistycznych, jakimi lubią panowie krytycy tłamsić młode, pełne debjuty.

Wydzwiwa Pan nademną, że chcę zapobiec naiwnym „walkom”. Czy raczył Pan zauważyć, że „walkom” jest w cudzysłowie? Czy raczył Pan zauważyć, mój przysły Mistrzu, że gdy mówię o łączności pokoleń, powiadam — „przymusić starszych do uwagi, do czujności w stosunku do młodszych”. Nagroda Akademii Literatury dla młodych unicestwi powierzchowne feljetonowe „walki”, otworzy natomiast pole prawdziwej walki, walki uszlachetniającej przez wzajemne poznanie się młodych i starych.

Nie ludzę się, że młodzi będą wiele razy potępiali wyroki Akademii. Nie ludzę się, że starzy zgrzytać będą zębami studiując dzieła młodych. Dzięki temu jednak unikniemy osądu, wytwarzanego w pustce, w próżni, w nieznajomości rzeczy, w feljetonowym pośpiechu, którego próbką stylową jest pańska analiza warunków nagrody i pański wniosek o bankietowości.

To jeszcze chyba z prowincji przywiózł Pan tego Kadena-bankietowca. Gdy Pan tu u nas pomieszka w Warszawie, przekonana się Pan, że bankietowość literacka nie taka miła i łasa, jak się to Panu zdaleka wydawało. Przed każdym bankietem trzeba bardzo wiele telefonować, ustalać, targować się w restauracji, bo przecie pieniądze mało a musi ten bankiet choćby z trzech dań się składać. Potem sam bankiet, — trzeba witać, pozdrawiać, służyć kolegom. A przedtem mowę napisać, żeby to była mowa literacka a nie bajdurzenie. Wygłosić tę mowę trzeba po pieczęstem, w czasie deseru.

Drogi Panie Kolego Skiwski, cóż to za bankiet z mową w zanadru a jeszcze, skoro już o mnie rzecz idzie! Bankiet — a dwa stare wrzody w żołądku (ulcus ventriculi rotundum) i woreczek żółciowy — bardzo nie bardzo, i wątroba — bardzo nie bardzo. Niema czego zazdrościć. Niechże Pan, gdy już u Pana zdam swoją maturę literacką i będzie Pan wolniejszy, niechno Pan, Panie Kolego, kropnie i bodaj niedojrzałe wypelni 20, czy 30 tytułów; 20 do 30 książek. Niech Panu potem wypadnie urządzać koleżeńskie bankiety i niech Panu drugi znowu Skiwski (gdy nawet nie przemyślał, o co chodzi naprawdę) od bankietowców wyzywać zacząć, — wtedy pogadamy.

Juliusz Kaden-Bandrowski

GŁOSUJĘ NA WIKTORA

Wśród obfitego plonu powieści z tego roku dwutomowa powieść Jana Wiktora „Wierzy nad Sekwaną”, wybija się na czoło największą ambicją i największym temperamentem.

Zaspakaja nowe wymagania: gdyż jest to doskonały reportaż z życia naszej emigracji chłopskiej we Francji, oparty nietylko na doświadczeniach w terenie, lecz i na długim goletnim zżyciu się z ludźmi wsiowymi i pierwotną ich duszą. Bez wniosków agitacyjnych, jakże wielkie uczucie obywatelskie ożywia ten „reportaż”: czytając te dzieje strasznej niedoli naszych wychodźców we Francji, a wiedząc, że to jest dręcząca teraźniejszość a nie bezpowrotna przeszłość, chciałoby się wolać o ratunek, u kogoś interwenjować, pójść tam, spotkać się z tymi ludźmi, poradzić im, pomóc, zatrzymać spowiewierany los Jędrka Połańca i Józki Kowalczykówny jeszcze w ostatniej chwili przed katastrofą. Cisną się na usta pytania: czy to jest możliwe? czy to nie przesada? — bo człowiek zazwyczaj woli nie wierzyć w nieszczęście, tak jak się nie wierzy w przebudzenie żywcem pogrzebanych. I prócz bystrej spostrzegawczości trzeba jeszcze t. zw. serca, aby pod powłoką znanych i powtarzających się faktów wyczuł wiecznie nową tragedję ludzką.

O tyle też Wiktor należy do starej gwardji pisarskiej. Zasięgiem obserwacji, siłą wyłaniania z niej plastycznych postaci zbliża się do Reymonta; zdolnością zespalańia się z życiem ich subiektywnem, — a dziś, w czasach oschłości, podawanej za wstydlivość u-

czuć, trzeba powiedzieć: także i chęcią, pasją tego wzywania się, — zbliża się do Zeromskiego, kontynuując najlepszą jego tradycję. Nie od razu stanął Wiktor na tej wyżynie; sentymentalizm jego pierwszych powieści musiał się wyklarować, ogarniał istoty i zdarzenia drobniejsze, przepalając je zanadto, zanim znalazł godne siebie tworzywo w „Wierzbach” i tutaj wyładował się jako pierwszorzędna energia artystyczna.

Przeczytałem kilkanaście recenzji o „Wierzbach nad Sekwaną”; wszyskie przyznają, że zwłaszcza tom drugi odznacza się znakomitą konstrukcją: dwa losy, jej i jego, toczą się odmiennymi łożyskami, pęd ich wzrasta, następuje spotkanie, pierwsze po latach i ostatnie; potem rozpacz rozłąki, na który jednak autor zarzuca zasłonę, szkiełając jeszcze, jako pogodny wydziewik, wyjątkowo szczęśliwy i pozytywny powrót dwóch innych polskich wychodźców. Całość to imponująca epopeja emigracji chłopskiej, pełna scen o przednim napięciu; odsłania wielki płat nieznanego życia polskiego, wzrusza, przeraża i alarmuje.

Gdybym uczestniczył w jury nagrody krakowskiej, nietylko głosowałbym za przyznaniem jej Wiktorowi, lecz i namawiałbym usilnie innych sędziów, aby nie ominieli sposobności tego trafnego a oczywistego wyboru. Przecież Zabno, z którego pochodzą bohaterowie „Wierzb” znajduje się gdzieś koło Krakowa, choć pełno go w ich serdecznych wspomnieniach nad Sekwaną.

Karol Irzykowski

FANTASTYCZNE MIASTECZKO

Bruno Schultz. Sklepy cynamonowe. Warszawa. „Rój” 1934; str. 220 i 4nl.

Rzadko zdarzają się debjuty tak interesujące jak pierwsza książka Schultza. Nie sądzę jednak, aby autor „Sklepów cynamonowych”, „spisując te opowiadania, szeregując tę historję o moim ojcu” zamierzał dać zwartą konstrukcję powieściową. Te kilkanaście opowiadań wiąże ze sobą tylko osoba dziecka-narratora i ta sama groteskowo szarżowana scenerja małego miasteczka.

„Mieszkał w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i ślepych fasadach, które tak trudno od siebie odróżnić. Daje to powód do ciągłych omyłek. Gdyż, wszedłszy raz w niewłaściwą sień i na niewłaściwe schody, dostawało się zazwyczaj w prawdziwy labirynt obcych mieszkań, ganoków, niespodzianych wyjść na obec podwórza i zapominało się o początkowym celu wyprawy, ażeby po wielu dniach, wracając z manowców dziwnych i splątanych przygód, o jakimś szarym świecie przypomnieć sobie wśród wyrzutów sumienia dom rodzinny”.

Jesteśmy w krainie fantastyki. Ulicami „pozurowego i pustego gestu” krążą, popychane przez tragarzy miejskich, tramwaje z papiermach, a w zaroślach przewijają się „bezgłośnie kuny, łasice i ichneumony, futrzane, wężące zwierzątka, śmierzzące kozuchem, wydłużone na niskich łapkach”. Na nieszczęście fantastyka nie zawsze jest wyrazem fantazji. Obawiam się, że to małe napięcie rzeczywistości tła osłabia zamiast potęgować, efekty groteski psychologicznej wielu opowiadań „Sklepów cynamonowych”.

Zważmy, że powieści fantastyczne Welisa, czy Stevensona operują właśnie kontrastem między realizmem czy powszedniością swych przesłanek, a swym założeniem uludnem, intelektualnie-dedukcyjnem. Weźmy najbardziej znaną z przekładu czy filmów nowelę Stevensona, „Mr. Jekyll i Mr. Hyde”. Dobry, szlachetny Jekyll posiada tajemniczy napój, który pozwala mu przybierać chwilami postać Mr. Hyda — ucieleśnienia wszystkich złych i okrutnych stron jego natury. To założenie. Ale Jekyll nie posiada siły, by opanować w sobie ciągłą możność takiej przemiany. Chce ciągle znać jej po raz ostatni i to go zgubi. Tak ujęty fantastyczny motyw sobowótora jest wierną prawdą psychologiczną. Rozumiemy teraz dlaczego Norwid uważał swoją „Tajemnicę Lorda Singelworth”, na motywie ironicznej fantazji opartą, jako „nowelę, za zadanie mającą wyjątkowo jakie spostrzeżenie psychologiczne utrwalić obrazem wiersym”. Sądzę, że „Sklepy cynamonowe” Schultza rozpatrywać należy jako cykl takich właśnie nowel.

Być może najciekawsze z całego zbioru jest opowiadanie „karakony”. Na widok tych owadów „ojciec mój nie posiadał już wtedy siły odpornej, która broni zdrowych ludzi od fascynacji wstrętu”. Zamiast odgraniczyć się od siły atrakcyjnej tej fascynacji, poddaje się jej całkowicie, przyjmując obyczaje i podobieństwo do karakona-totemu. Taki psychologicznie-dedukcyjny ekspery-

ment na tle uczuć nienawiści czy wstrętu jest dość ciekawy. Zapomnijmy narazie o napięciu pozy, czy ironicznym patosie, charakterystycznym dla książki Schultza, za miast karakonów wyobraźmy sobie fascynację wywieraną przez groźnego, tajemniczego przeciwnika, a wówczas opowiadanie osiągnie swój efekt, stając się prawdopodobne.

Przyjrzyjmy się dziwnym bohaterom „Sklepów cynamonowych”. Przedewszystkiem Jakob, ten ojciec, który „nie był zakorzeniony w sercu żadnej kobiety, przeto nie mógł też wrócić w żadną realność, unosząc się wiecznie na peryferji życia w półrealnych regionach na krawędzi rzeczywistości. Nic więc dziwnego, że żyjąc „wśród święgotu tapetowych ptaków”, „często śmiał się teraz głośno i szczebiotliwie, zanosząc się wprost od śmiechu, albo też pukał w łóżko i odpowiadał sobie „proszę” w różnych tonacjach, całemi godzinami”. Mimo to „ten mąż przedziwny” posiada jeszcze kontakt ze światem (bytność w teatrze, prowadzenie sklepu). Cechują go zainteresowania metafizyczne i ornitologiczne zarazem, te same, które powodują zachwyty jego małego synka wobec szczeniaka Nemroda. Przecież zwierzęta to „niespodziewana transpozycja tego samego wątku życia, który i w nas był, na formę od naszej odmienną, zwierzęcą”. Stąd hodowla ich jest to „eksperymentowanie w niewypróbowanych rejestrach bytu, konkurencja dla demurga — stwórcy świata”. Przeciwniczką takich „głęboko-grzesznych” projektów Jakoba, jest służąca Adela. Ona udaremni mu hodowlę ptaków egzotycznych i dalsze badania ornitologiczne na „tandetnych, tanich ciałkach” dwóch szwaczek Pauliny i Poldy („genus Avium, papugi lub dzięcioły”). Ona spowoduje końcówką katastrofę urojonego, ptasiego świata w sklepie, gdzie „siedział Ojciec jak w ptaszarni, na wysokim stołku, a gołębniki i klatki z szczeniakiem paskami papierów i wszystkie gniazda i dziupla pełne były świergotu cyfr”.

Tak skazany na bezsilność twórca demurga — Jakob był „cudownym młynem, w którego lejce sypały się otręby pustych godzin, ażeby w jego trybach zakwitnąć w szwstkami kolorami i zapachami korzeni Wschodu”, czyli mówiąc prościej, tworzył fantastyczność, którą łapczywie chłonął jego mały synek.

Wrażenia tego dziecka są osiłą kilku opowiadań (Sierpień, Nemrod, Pan). Magja, nieświadomienie dzieciństwa tworzą tu same ten dystans od powszedniości, który w innych opowiadaniach stanowią papierowe tramwaje, czy koleje bez stałych przystanków. Zręczne jest opowiadanie „Pan” ze swem zabawnem, nieoczekiwanem skatologicznem zakończeniem. „Nemrod” to dzieje pierwszych wrażeń życiowych małego pieska, wdzięczne karty, godne stanąć obok „Djany” Nalkowskiej, czy opowiadań zwierzęcych Colette.

Na szczególną uwagę zasługuje sty! książki. Wywiera on zmysłowe wrażenie zanurzenia szeregu różnych przedmiotów w złotej farbie. Mimo przyjemności rozpoznawania ich kształtów wielorakich dziwi, a w

końcu drażni jednostajność ich błyszczącej patyny. Brak prostoty. Obok zdań bardzo zręcznych, nowych i lekkich spotykamy okresy zbyt kunsztowne, przeciążone zbyt wielką ilością metafor, czy określeń wyrażonych w słowach niecodziennych i trudnych.

Te „telluryczne ingrediencje” stanowią niestety „niestrawioną restancję” nicopano-

wanej erudycji autora, powodując często „amorfność” niektórych ustępów „Sklepów cynamonowych”. Mimo to, książka ta nie jest bezpostaciowa czyli „amorfna”, gdyż ma indywidualność, a chwilami i urok i wdzięk. Jako debiut obiecuje dużo. Jest świadectwem dojrzałych zamierzeń artystycznych i wyrazem talentu. **Andrzej Pleśniewicz**

NA SCENACH STOLICY

„Aszantka” — Komedja w 3-ach aktach Włodzimierza Perzyńskiego na scenie Teatru Polskiego. Reżyserował W. Biegański. Dekoracje S. Sliwińskiego. (Dn. 16. I. 1934).

Ta cyniczna komedja obyczajowa z przed lat trzydziestu, tak ściśle przylegająca w swym realizmie do życia, że nie pozostawiająca miejsca dla autora, aby mógł zaznaczyć jak bardzo się nie solidaryzuje ze swymi bohaterami, ta „Aszantka”, która za dni swego powstania budziła sensację z powodu śmiałości i bezwzględności, z jaką odmalowała wycinek życia warszawskiego — dziś staje przed nami jako wysoce wymowny, bolesny i mściwy dokument zdarzeń, których prawdziwe znaczenie dopiero teraz zostało dla nas odkryte.

„Aszantkę” zagrano w Teatrze Polskim w kostjumach demodés, niby współczesnych, a już tak odmiennych od dzisiejszych — i uczyniono słuszną. Bo choć zdarzenia tej komedji nie są bynajmniej nadzwyczajne, choć mogą się rozegrać zarówno dziś, jak jutro, to jednak „Aszantka” nabrała wyjątkowej i niezamierzonej przez autora perspektywy historycznej, służącej obecnie — znów mimo woli autora — sprawom o wiele poważniejszym, niż dawniej.

Z perspektywy dnia dzisiejszego komedja Perzyńskiego nabiera znaczenia społecznego — i politycznego. Społecznego, bowiem z bezwzględną brutalnością demonstruje nam oblicze moralne tej warstwy społeczeństwa, która wówczas naprawdę była w Polsce „warstwą posiadającą”, a która obecnie znajduje się w stanie zupełnej materialnej ruiny. Ta błyskawicznym djalogiem zaznaczona historia młodego ziemianina Łońskiego, który trwoni majątek z zupełną bezymyślnością, aby w kilka lat potem skończyć samobójstwem, nawet u Perzyńskiego, który nie wdaje się nigdy w filozoficzne uogólnienia, otrzymuje społeczną kwalifikację. Stary baron Kręcki mówi do Łońskiego w trzecim akcie „Aszantki”: „Naprzód dla mnie urządzano takie kolacje, potem ja urządzałem je dla ciebie, teraz mi obaj urządzamy je dla innych — tak tworzy się historia”. Tylko że w epoce „Aszantki” taki Kręcki i Łoński byli charakterystycznymi egzemplarzami warstwy, której jeszcze niewiele mogli zaszkodzić — dziś, z perspektywy wielkiej wojny i powojennego kryzysu, gdy cała warstwa ugięła się pod brzemieniem dekonstrukcji, widzimy wyraźnie, jak bardzo i jak dalece ta właśnie warstwa nie była przygotowana na trudy, które nadchodziły. Czy Łoński, gdyby nie poszukiwał sobie wyzwolenia w kuli rewolwerowej, odegrałby jakąkolwiek rolę w walce zmięszania o stan posiadania? Czy jego eskapada do Florencji z piękną dziewczyną z warszawskiego bruku nie urasta do jakiegoś koszmarnego symbolu utraciznoszta, które wprawdzie już nie powróci, ale które pozostało jakimś nieziszczonym marzeniem, górną granicą aspiracji? W świetle komedji Perzyńskiego rozumie się o wiele silniej społeczne znaczenie powieści Rodziewiczówny, to budowane prostymi, niewyszukanymi sposobami artystycznymi ideału, który bynajmniej nie jest inny w arcydziełach Hamsuna: — ziemi i jej materialnej mistyki.

Obok tej strony społecznej, przeraźliwie spogląda ku nam z „Aszantki” polityczna strona dziejowej konfrontacji. Komedja Perzyńskiego jest przekrojem życia ówczesnej Warszawy jako „stolicy” podbitego kraju. Nie możemy się już dziś, słuchając „Aszantki”, zamknąć bez reszty w garsonierze Łońskiego lub podążać za Kręckim do restauracyjnych gabinetów: wyczuwamy epokę, w której akcja się dzieje, wyczuwamy jej dziejowe znaczenie. Wiemy, że to nie margines jakiegos tam bliżej nieokreślonego życia, że to jest obraz społeczeństwa w wrót roku 1905-go, że w tym samym czasie inni, nie liczniesi, pozbawieni środków materialnych członkowie tego społeczeństwa, właśnie spobili się do walki o nowe życie dla naro-



Irena Eichlerówna i Franciszek Brodniewicz

du, i że to nie oni byli marzycielami bezpłodnymi, ale kowalami jutra — gdy marzycielem właśnie był ów Łoński, zamierzający spędzić życie w ramionach Władki z Powiśla i znajdujący u kresu jądową kulę własnej degnegrody moralnej, nie zaś orężnego czynu.

Teatr przygotowuje czasem takie nieoczekiwane konfrontacje, oddala lub przybliża utwory, podwyższa je o koturn, lub obniża o obcas. I trudno wówczas nawet interesować się gatunkiem realizmu „Aszantki”, czy jest nam jeszcze tak miły, jak przed trzydziestu laty, czy też może razi nas płaskością swoich konturów. Słucha się tylko z przyjemnością tej mowy scenicznego Perzyńskiego, nieprawdopodobnie kolokwialnej, zwartej i oszczędnej, nie tak bogatej jak u Zapołskiej, a jednak jeszcze od niej wyższej.

Teatr Polski miał prawo wznowić „Aszantkę”, pokazując nam w roli tytułowej artystkę tak niezwykle interesującą, jak Eichlerówna. Ta najdosłowniejsza w młodem pokoleniu aktorka, którą Warszawa zna tylko z tytułowej roli w „Fräulein Doctor”, od trzech lat spełnia jaknajbardziej odpowiedzialne zadania na scenach krakowskiej i lwowskiej. Jej Aszantka zdumiewa nie tylko ekspresją, którą poznaliśmy poprzednio, ile dojrzałością techniki aktorskiej. Ekspresja dostosowana tym razem idealnie do charakteru talentu Eichlerówny, w szeregu scen zajaśniała z wielką wyrazistością. Ale bogactwo tej ekspresji, ta wielka gama przetwarzania się fizycznego kobiety, w gruncie rzeczy pozostającej ciągle na tym samym stopniu moralnym i umysłowym upośledzenia, było możliwe tylko przy wielkiej pewności w posługiwaniu się środkami wyrazu aktorskiego. Zwłaszcza akt pierwszy, owo podświadome budzenie się ciekawości życia u tej dzikuski, ta świeżość jej brutalności, jej żywiołowość godna była najwyższego uznania. Trudno dziś przewidzieć, w jakim kierunku rozszerzy się repertuar Eichlerówny — jeżeli jednak grała ona z powodzeniem Norwidowską „Kleopatę”, to Aszantka będzie dla niej tylko doskonałym dobranym biletem wizytowym, po którym przyszły muszą role wyższego rodzaju i wymiaru.

Przedstawienie „Aszantki” było nieo-przebrutalizowane przez reżysera. Zwłaszcza w drugim akcie. Po aktorsku jednak było naogół bardzo dobre i obfitujące w tak doskonałe epizody, jak pp. Sochy i Justjana, oraz tak zabawną postać, jak baron Kręcki w interpretacji p. Grabowskiego. Natomiast p. Kreczmar, jakkolwiek pokazał kilka interesujących momentów w roli Łońskiego, nie podźwiął całkowicie tej trudnej i niewdzięcznej roli. Było w nim zbyt mało prawdziwego temperamentu, zbyt wiele usiłowań, aby ten brak wyrównać gwałtownością gestów i donośnością głosu.

W. Z.

NOTATKI

Wzrost działalności królewskiej Akademji włoskiej na polu wydawniczym, zaznacza się coraz to wyraźniej szeregiem dzieł wybitnych pisarzy. I tak ostatnio pojawił się pierwszy tom „wspomnień z podróży po Włoszech” Jana K. Goethego, ojca wielkiego poety, w opracowaniu znakomitego filologa, członka Akademji, p. Artura Farinelli. W dziale studjów i dokumentów wydano dwa tomy znacznego orientalisty, akademika p. Józefa Tucci p. t. „Indo-Tibetana”. Tom pierwszy obejmuje sztukę religijną w Tybecie, dając b. cenny materiał dokumentacyjny, zebrany przez autora w czasie jego wielokrotnych podróży, tom drugi zaś poświęcony jest odrodzeniu buddyzmu w Tybecie w r. 1000. Nadto do tomu pierwszego należy 43 plansz reprodukcji po za tekstem, z tego znaczna część kolorowych.

Sekcja wydawnicza Akademji zapowiada na rok 1934, szereg niewydanych dotąd prac literacko-naukowych, znajdujących się w jej zbiorze rękopisów.

W „Collezione di studii Slavi” ukazała się, jako pierwszy tom zbioru, książka sławisty włoskiego p. Artura Cronia p. t. „O historii sławistyki we Włoszech” — notatki historyczno-bibliograficzne. Praca ta obejmuje historję sławistyki we Włoszech od czasu humanizmu i pierwszych włoskich badaczy słowiańszczyzny, których nestorem był Giovanni Marignolli, aż do czasów najnowszych. Autor kreśli, w porządku chronologicznym obraz ruchu sławistycznego we Włoszech, dając niezmiernie bogaty materiał dowodowy i analizę przyczyn, jakie w różnych okresach budziły zainteresowanie uczonych włoskich dla słowiańszczyzny.

XIX Biennale podaje w swym programie jako dzień inauguracji 12 maja b. r. Wystawa obejmie 15 pawilonów narodowych poszczególnych państw, oraz pawilon sztuki dekoracyjnej i stosowanej. Od 7 do 27 lipca, będzie miał miejsce zjazd teatrologów, podczas którego urządzone zostaną widowiska pod gołem niebem, na których grane będą dzieła Szekspira i Goldoni’ego. Następnie między 1 a 20 sierpnia odbędzie się pokaz sztuki filmowej i wreszcie od 6 do 16 września zapowiedziany został Trzeci Międzynarodowy Festiwal Muzyczny, w którym przyjmą udział najwybitniejsi kompozytorzy Europy i z poza Europy. Zamknięcie wystawy nastąpi, po rozdaniu nagród, w dniu 12 października b. r.

W Paryżu wyszła w grudniu ub. roku nakładem firmy Alcan praca Benrubiego p. t. „Les sources et les courants de la philosophie contemporaine en France”. Jest to zarys francuskiej filozofji współczesnej — najpełniejszy z dotąd napisanych. Dzieło Benrubiego daje analizę poglądów filozoficznych 160 uczonych. W miejsce tradycyjnego podziału filozofji na teorię poznania, logikę, psychologję i t. d. dzieli ją autor na trzy zasadnicze grupy: I.pozytywizm empiryczny i naukowy od czasów A. Comte’a z podziałem na kierunek psychologiczny (Ribot, Binet, Paulhan, Pierre Janet, Dumas) i socjologiczny (Durkheim, Hubert, Mauss, Bouglé, Levy-Bruhl).

II kierunek wywodzący się od Kanta i Renouviere, odzwierciedlony w krytyce naukowej (Claude Bernard, Poincaré, Milhaud, Neyerson) czy u racjonalistów (Dauriac, Brochard, Hamchin).

IIIpozytywizm metafizyczny i spirytualistyczny (Maine de Biran, Lachelier, Secrétan, Boutroux, Bergson).

W dziele swych usiłuje Benrubi scharakteryzować jak najobiektywniej każdą ze wspomnianych grup, i dać syntezę całej współczesnej filozofji francuskiej.

W Paryżu ukazała się trzutomowa „Histoire de Russie” — praca zbiorowa, której głównymi autorami są: Paweł Miljukow, b. prof. historii na uniwersytecie w Moskwie, — b. prof. tegoż uniwersytetu M. A. Kizeweter, zmarły przed kilku miesiącami, jako prof. historii Rosji na uniwersytecie w Pradze, — M. V. Miakotin prof. historii Rosji na uniwersytecie w Sofji, — M. B. Mirkin-Gucewicz, b. prof. uniw. w Petersburgu i szereg innych. Dzieło to, obejmujące czasy od 879 r. aż do doby ostatniej, daje nową historję Rosji z uwzględnieniem wszelkich dziedzin życia i rozwoju narodu, jak polityki wewnętrznej i zagranicznej, ustroju społecznego, rolnictwa, przemysłu, handlu, szkolnictwa, literatury, nauki i sztuki. Praca ta —

zawierająca kilka map geograficznych w tekście oparta jest na dokumentach archiwalnych, pamiętnikach i mało znanej korespondencji.

Nakładem „Société du Livre d’Art” w Paryżu wyszła książka p. S. Morono p. t. „La légende de la Demoiselle de Lumière” z ilustracjami Kiyoshi Hasegawa. Jest to adaptacja starej opowieści japońskiej z X wieku. Wydanie luksusowe — na papierze japońskim z pięknymi rysunkami.

Nakładem wydawnictwa „Plon” ukazały się już oba tomy „Memoires du Général de Coulaingcourt, Duc de Vicence, Grand Ecuyer de l’Empereur” ze wstępem i komentarzami J. Hanoteaux.

W pamiętnikach Coulaingcourt’a znajdujemy wiele nowych szczegółów dotyczących epoki napoleońskiej, specjalnie zaś w rozdziałach tomu drugiego pod nazwą: „W saniach z Cesarzem”. Są to bezpośrednio zwierzenia Napoleona poczynione w ciągu dni i tygodni odwrotu o przyszłych planach i momentach minionych, nacechowane zupełną szczerością. Ta właśnie część pamiętników — opisująca podróż powrotną z nieudanej wojny moskiewskiej, stanowi nową kartę dla historii napoleońskiej epoki.

Stan badań nad Stanisławem Przybyszewskim

Sześć lat zaledwie upłynęło od śmierci autora „Nad morzem”, a prace nad życiem jego i twórczością mnożą się z dnia na dzień. W chwili obecnej okres norweski Przybyszewskiego opracowuje bawiący w Szwecji dr. Stanisław Sawicki, listy z czasów gimnazjalnych pisane do Praksey Zmudzńskiej w latach 1885 i 1886 z Wągrowca, przygotowuje do druku prof. Adam Münnich. Równocześnie znajdują się w stadium przygotowania dwa studia zagraniczne o Przybyszewskim, niemieckie p. Ericha Kruski, zmierzające do ujęcia kolejnych faz ideologicznych naszego pisarza, francuskie p. Maxime’a Hermana z Lille o tendencjach i zabarwieniu estetycznym. Monografię biograficzną ma na warsztacie Stanisław Helzsyński, który poza całą drukowaną puścizną poety polską i niemiecką zgromadził w swem ręku ponad 400 listów i dokumentów, odnoszących się do życia i działalności pisarskiej Przybyszewskiego. Ponieważ zbiór zawiera pozycje odnoszące się do wszystkich okresów poety, zarówno wągrowieckiego, jak berlińskiego, skandynawskiego, krakowskiego, warszawskiego, monachijskiego i drugiego polskiego, można żywić nadzieję, że praca Helzsyńskiego stanie się podstawowym źródłem w ocenie Przybyszewskiego jako człowieka i twórcy.

„Uczony” spór o tragedję grecką

W „Merkurjuszu Polskim” z dn. 16 b. m. p. J. B. urządził sąd nad moją osobą z powodu pomieszczonej w nr. 1 „Pionu” recenzji z „Kleopatry” Norwida, skazał mnie na wywieszenie wyroku w IPS-ie i wogóle — auto da fe.

Pomijając sprawy uboczne, jak zestawienie mnie z Kleonem, a siebie z Nikiaszem oraz (słuchajcie!) podanie w cudzysłowie mojego tekstu zupełnie dowolnie i nieścisłe, jakby z pamięci, — należy ze smutkiem stwierdzić, że nieznaną przeciwnik, kokietujący czytelnika erudycją klasyczną, musiał conajmniej z 10 lat pod murami Troi przebywać, tak mu się wszystko dwoi i troi. Zarzucając mi błąd oczywisty, wynikający z niepoprawienia rękopisu, nie widzi istoty, który jeśli chodzi o jego stronę hierarchiczną, nazwałbym poprostu szkolnym.

Oto w tem samym zdaniu poza drobniarzem okrzykniętym przez p. J. B. zostało mylnie podane jakoby jedność czasu, miejsca i akcji były wymogami formalnymi tragedji greckiej, podczas gdy zasada była wyłącznie jedność akcji. Natomiast pozostałe dwie jedności uznano za obowiązujące dopiero w kilkanaście wieków później, w dobie klasy, cyzmu. Można to zobaczyć w każdym podręczniku szkolnym. Wielbicielowi Platona jakim jest p. J. B. zalecam Poetykę Arystotelesa.

Tak przeto oceniając rzeczywistość, widzimy w IPS-ie nie wyrok podany na widok publiczny, ale niepoważnie wyłożony język nijakiego Nikiasza. A z auto da fe pozostało tylko „fe”!

S. Flukowski.

KURJER PORANNY

największy dziennik stołeczny dla inteligencji,
wychodzący pod redakcją Wojciecha Śpiczyńskiego

zamieszcza artykuły najlepszych publicystów, znakomite krytyki i feljetyony, posiada bogaty dział gospodarczy, własnych korespondentów w kraju i zagranicą. Cena wraz z dodatkiem ilustrowanym i tomikiem powieści co tydzień zł. 5.— miesięcznie wraz z przesyłką. Urzędnicy państwowi i komunalni zł. 3.75.

Zamówienia przyjmuje Administracja
Warszawa, Marszałkowska 148, telefon 542-30.

NA EKRAKACH

PIĘKNY JEST ŚWIAT

(Kino Europa).

Czyż nie musi być piękny świat, gdzie Chevalier anonsuje nam swoją nową kreację, gdy go widzimy jak pracowicie biegnie, błąduje, bije i balansuje, bierze na kawał, rozkosznie bredzi, buszuje po Paryżu, blamuje się i czaruje, cukrzy herbatę, czuje obecność ukochanej, chodzi, całuje, przyciem w tem ostatniem poprostu nadzwyczajnie celuje, gdy domaga się, dyskutuje, działa, daje, dokłada, fantazjuje, fotografuje, gra, gwizduje, gwarzy, gaworzy, grymasi, gdy poprosto jest na filmie i kocha, i kręci, trochę kłamię, ogromnie dużo i to przeraźliwie dużo lata, lobozując się jednocześnie, gdy mieszka na poddaszu (ktoś niecznie — inaczejby nie czulo się Paryża), martwi się — tak trochę — maskuje swe uczucia, nasuwa, namawia, nastrocza i niepokoi, osacza i odcina (jak on to robi — patrz, popatrz!), przegina, porywa, przewraca, placi, ciągle wszystkim coś perswadije, coś proponuje, o czemś przekonywa, kogoś przedrzeźnia, trochę pragnie, mniej pracuje, lubi się rozkraczać, rozpinać, reklamować, często reflektuje, niekiedy ratuje, nigdy nie roni (leż), śpiewa w najnieprawdopodobniejszych miejscach, stara się być bez zarzutu, tańczy, trąca, tęskni (ale krótko), ucieka, uśmiecha się, umila, uwodzi, usypia, uracza, unosi, umaja, upuszcza, utula, ucina, utrzymuje, ubiera się, całami dniami się włóczy, wnosi wesołość, spojzenia wymienia, głupstwa wyczynia, biodra wypina, Paryż zachwala, zardzość wzniesca, uwagę zatrzymuje, radość zaleca!

Jest amatorski i apolliniński, boski, brawurowy, czarujący, czuły, cudny i ogromnie ciekawy, ponadto efektowny (nigdy efektywne), elektryczny, elastyczny, ewokujący, emocjonujący, entuzjastyczny i elegancki, ponadto fascynujący, furjacki, futurystyczny, niefrasobliwy zupełnie, fermentujący i wogóle fajny, ponadto galowy, inteligentny, intymny i intymny, nadewszystko kochany, kochany, kulturalny i kryzysowy, bardzo lubiany, trochę marzycielski, zupełnie miły, zdaje się, że mądry (sic!), ale strasznie męski i moralny (?), nigdy nudny, nużący, zawsze namiętny, nigdy oziębły, osłabły, opuszczony, niezwykle prosty, prowokujący, pikantny, paryski, bardzo problematyczny w wielu sprawach, cokolwiek różowy, sowidrzalski, skandaliczny, ale za to jak uwodzicielski i usidlający, będąc jednocześnie uroczym, uczciwym i utopijnym, niebardzo wytrwały, ale wytworny, zadowolony i zabójczy — jednym słowem, człowiek i instytucja, mędrzec, boy przez duże i male b.

PRYWATNE ŻYCIE HENRYKA VIII.

(Kino Casino).

Przedewszystkiem o błędach. Nie można powiedzieć, aby film ten był kinowo potraktowany. Teatralność jego występuje na każdym kroku, jest poprosto miążdżąca. Mikroscopiczna ilość plein air'ów, szeroko rozwinięte djalogi, o zaletach których powiemy jeszcze niżej, dekoracje, dekoracje i dekoracje, historyzm kostjumowy, wierny, ścisły, silnie podkreślany, skrupulatne portretowanie postaci historycznych, zarysowana ostro obyczajowość wraz ze wszystkimi jej charakterystycznymi a śmiesznymi stronami — nie dały w rezultacie filmu o czystych walorach kinematograficznych. Reż. obrazu Al. Korda nie potrafił wycisnąć z historii cech filmowych pomimo swej rutyny w tego rodzaju realizacjach. Wartoby się zastanowić więc, czy dzieje ludzkości, poszczególnych narodów i państw mogą stanowić materiał dla realizatorów filmowych, tembardziej, że jak nam sygnalizują, na rynek zostanie rzucony w najbliższym czasie cały szereg tasieni o treści historycznej. Pierwszym z tego cyklu jest właśnie omawiany obraz. Jest on jak to stwierdziliśmy w sensie filmowym chybiony. Pytanie więc, czy przeszłość nadaje się do ujęcia w formy 10-ej Muzy, pozostało otwarte. Czy może film wytrzymuje jedynie reminiscencję nowoczesnego życia? Może tok codzienności, dajmy na to Anglii Henryka VIII, jest zamknięty w innym rytmie, nie odpowiadającym tempu kina? Wydaje się jednak słusznem, że i tam możnaby znaleźć odpowiednie momenty, i z nich zmontować film o pełnych wartościach jemu tylko właściwych. Al. Korda poszedł w innym kierunku. Położył on nacisk na alkową królewską. Rozsmakował się w obyczajach, kostjumie i geście ówczesnego człowieka. Przeszedł lekko i gładko nad sprawami przykremi, jak okrucieństwo królewskie, aczkolwiek tego odmówić mu nie można, to i owo pokazał dość wyraźnie. Zresztą cały film zbudował na jednej roli tytułowej i tem uratował swe dzieło. Charles Laughton odtworzył postać króla tak

znakomicie, racjonalnie, taktownie a zarazem wszechstronnie, że wszystko błędnie poprostu przy tej kapitalnej kreacji znakomitego tragika. Sceny takie jak gra w karty z czwartą żoną w sypialni, albo ostatnia z szóstą, są arcydziełami maski aktorskiej. Laughton'owi dzielnie sekundują wszystkie niemal aktorki, odtwarzające role jego żon. Doskonałą postacią dała aktorka grająca księżniczkę niemiecką, a czwartą żonę „Sinobrodego”. Djalogi pełne lekkości i dowcipu płynęły ob-

ficie ale w miarę, oczywiście, w miarę na początku przez nas ustalonym. Jeśli tym filmem chciano zabawić się wielkim królem, uczyniono to jednak sposobami dalekimi od tych, jakimi w teatrze operuje np. Shaw. Poprostu chodzi o to, że z treści historycznej nie uczyniono odskoczni dla zagadnień dzisiejszych. A postać Henryka VIII, twórcy floty brytyjskiej i apostoła anglikanizmu, nasuwa szczególnie wiele smakowitych możliwości.

Nr. 5 PIONU zawierać będzie m. inn.:

Art. St. Ign. Witkiewicza: „Wiecznie to samo aż do znudzenia, czyli o potrzebie światopoglądu”.

Dokumentację polskości Skrzetuskiego, przesłaną nam przez jednego z przedstawicieli rodu Skrzetuskich, a opartą na archiwach rodzinnych.

Drugą kolumnę architektury z artykułami St. Brukalskiego i Kaz. Prosyńskiego.

WSPÓLPRACA WARSZAWSKICH OŚRODKÓW BIBLIOTECZNO - INFORMACYJNYCH

Dnia 9 stycznia r. b. z inicjatywy Dyrekcji Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy odbyła się w Bibliotece I-sza konferencja przedstawicieli warszawskich ośrodków informacyjnych (bibliotecznych), bibliograficznych i t. p., udzielających swym klientom informacji i porad: 1) rzeczowe — dotyczące różnych dziedzin wiedzy i życia, faktów, dat, osób, adresów, wyrazów i t. p.; 2) biblioteczne — w związku z wyszukiwaniem książek w księgozbiorach; 3) bibliograficzne, polegające na sporządzeniu z dokumentów graficznych fotokopii, odpisów, przekładów, wyciągów, streszczeń etc.

W konferencji brały udział następujące instytucje: Instytut Oświaty Dorosłych (Nowogrodzka 21, tel. 8-78-03) Centralna Biblioteka Wojskowa (Al. Ujazdowskie Nr. 1, tel. 8-49-31), Biblioteka Narodowa (Rakowiecka 6, tel. 8-38-47), Poradnia biblioteczna (Marszałkowska 69, tel. 8-40-93), Polska Informacja Prasowa (Bracka 5, tel. 9-41-53), Biblioteka Publiczna (Koszykowa 26, tel. 8-48-75), i Biuro Bibliograficzne Stowarzyszenia Techników Polskich (Czackiego 3/5, tel. 6-09-19).

Po wysłuchaniu referatu „O organizacji pracy informacyjnej w Polsce” i odpowiedniej dyskusji, konferencja wychodząc z założenia, że praca informacyjna jest częścią pracy kulturalnej, że pożądanem jest skoordynowanie działalności już istniejących oraz zakładanie nowych instytucji informacyjnych i że jest na czasie zapoczątkowanie planowej polityki informacyjnej w Polsce, uchwaliła szereg wniosków, z których najaktualniejszymi narazie są: konieczność przeprowadzenia rejestracji istniejących ośrodków informacyjnych, zapoznania się wzajemnego drogą zwiedzania tych instytucji oraz porozumiewania się narazie drogą zwoływania okresowych konferencji.

W celach powyższych narada wyłoniła z pośród swych uczestników (12) tymczasową komisję w składzie: p. L. Bykowskiego (Warszawa, Koszykowa 26, Biblioteka Publiczna, tel. 8-48-75) i p. K. Frelka (Warszawa, Nowogrodzka 21, Instytut Oświaty Dorosłych, tel. 8-78-03), którym przekazał wykonanie uchwał oraz funkcje ośrodka orientacyjnego w sprawach powyższych.

Z CZASOPISM

KAMENA

Ukazał się już piąty numer miesięcznika „Kamena”, wydawany pod redakcją Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. W pięciu numerach na specjalne podkreślenie zasługują przekłady z języków słowiańskich dokonane przez A. K. Jaworskiego, J. Łobodowskiego, Rubacha i innych. Poza przekładami miesięcznik, ukazujący się w Chelmie Lub., drukuje wiersze i prace szeregu poetów z różnych miejscowości Polski, uzyskując dla siebie tem szerszy oddech i wielostronność w ujmowaniu zagadnień.

ZAGARY

Grudniowy a dwudziesty trzeci ogólnego zbioru numer tego czasopisma literackiego, wydawanego przez młodzież studiującą na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie zastanawia swą żywością i śmiałością, ideową postawą poszczególnych autorów. Ostrość zarysów niektórych wypowiedzi, zmysł czasu bieżącego, poczucie humoru, zainteresowanie i ujęcie odmienne od tych,

które przywykliśmy oglądać przeważnie u przedstawicieli najmłodszej literatury, wyróżniają ten numer niewątpliwie. Wiersz Czesława Miłozza p. t. „Książka” jest rzadkim dziś wyrazem natężenia twórczego i wysiłku w podejmowaniu zagadnień. Artykuł Józefa Maślńskiego „Panowie spokojnie” — zajął dyskusję ciekawie w ujęciu a ostro polemicznie, rozprawia się z szeregiem problemów dotyczących nowej awangardowej poezji w związku z książką Brzękowskiego p. t. „Poezja integralna”. Numer uzupełniają kroniki: białoruska, sowiecka i żydowska.

ZYCIE Tatarskie

W tymże Wilnie powstało nowe pismo, wydawane w formie miesięcznika przez Tatarów zamieszkujących w granicach Polski. Numer zawiera między innymi prace J. E. Muftiego, Dra J. Szykiewicza, Red. Stefana Tuhan-Baranowskiego oraz dział kobiecy z artykułami-odezwą p. Zofji Miskiewiczówny. Pismo ma na celu informować o życiu tatarskim w Polsce.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

HISTORIA LITERATURY, KRYTYKA

Juliusz Kleiner. — Mickiewicz. Tom I. Dzieje Gustawa. Lwów. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. 1934.

Krystyna Grzybowska. — Na marginesie dwóch dramatów Słowackiego. Kraków, 1933. Skład Gebethner i Wolff.

Kazimierz Czachowski. — Obraz współczesnej literatury polskiej 1884 — 1933. Tom I. Naturalizm i neoromantyzm. Lwów, 1934. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych.

Alfons Szyperski. — Geografia talentów wielkopolskich. Biblioteka Wici Wielkopolskich. Tom IV. Rok 1934.

Aureli Drogoszewski. — Eliza Orzeszkowa 1841 — 1910. Warszawa. MCMXXXIII.

Henryk Zyczyński. — Problemy wersyfikacji polskiej. Część I. Rytm poetycki. Lublin, 1934.

Ralf Waldo Emerson — Szkice. Przełożył A. Tretiak. Przedmowa A. Górski. Instytut Literacki. 1933.

Antoni Sygietyński — Pisma krytyczne wybrane. W opracowaniu Zygmunta Szwejkowskiego. 1932. Instytut Literacki.

Rocznik Literacki 1932 — Instytut Literacki. MCMXXXIII.

Henryk Zyczyński — Materiały psychologiczne w literaturze. Lublin 1933.

Stefan Kawyn — Cyganeria Warszawska. Szkic z dziejów obyczajowości literackiej. Lwów 1933.

Czesław Lechnicki — Prawda o Boju Żelaznym. Głosy krytyczne. Warszawa 1933.

KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Hugh Lofting. — Doktor Dolittle i jego zwierzęta. Przekład z angielskiego Wandy Kragen pod redakcją Janiny Mortkowiczowej. Wydawnictwo J. Mortkowicza. MCMXXXIV.

Marja Dąbrowska. — Przyjaźń. Wydanie drugie. Wydawnictwo J. Mortkowicza. MCMXXXIII.

Wacław Gąsiorowski. — Samosierra. Opowieści dziejowe. Wydanie trzecie ilustrowane. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej.

POLITYKA I SPRAWY SPOŁECZNE

Ignacy Czuma. — Reforma Akademicka z 1933 roku. (Historja, Przemówienia, Tekst Ustawy). Warszawa, 1934. Nakład Kwartalnika „Zrąb”.

BIBLIOTEKARSTWO

Hanna Dobrowolska. — Grafika książki a czytanie. Z przedmową Heleny Radlińskiej. Nakładem sekcji badania czytelnictwa Związku Bibliotekarzy Polskich. Warszawa, 1933.

„Informacja Prasowa Polska”

jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Wycinki z gazet i czasopism — to najlepszy przegląd prasy w każdej sprawie.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”, Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9-14-53).

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.



Obficie zaopatrzona czytelnia pism krajowych i zagranicznych

(Aleje Jerolimskie róg Nowego Świata)

OD ADMINISTRACJI

Od Nowego Roku numer pojedynczy tygodnika „PION” kosztuje w całej Polsce, nie wyczącając księgarni kolejowych Tow. „RUCH” Zł. 0.50.

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
 Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
 Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10